Numer 30. Należ. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 26 Lipca 1931**

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Ucieszył go.

Wierzyciel: Po raz ostatni zapytuję pana, kiedy pan nareszcie odda mi pieniądze?

Dłużnik (ucieszony): Po raz ostatni? Chwała Bogu!



Szczęśliwi z musu.

Dwie kumoszki rozprawiają z sobą o swoich mężach i pożyciu domowem.

— Czy szczęśliwie żyjecie z sobą? — pyta jedna dość potulnej miny.

— Spodziewam się! — odpowiada druga, wyglądająca na Herod babę — jabym mu dała, gdyby on nie był ze mną szczęśliwy!

— A mój mąż mnieby dał, gdyby był nieszczęśliwy — z westchnieniem przyznaje pierwsza.



Zapomniała o jednem.

Matka: Cieszy mnie to bardzo, mój Kaziu, żeś się poprawił i bez mego pozwolenia nie rwiesz owocu w ogrodzie. Wszak w tym tygodniu ani jednego jabłka nie zerwałeś?

— Nie, mamo.

— Ani jednej gruszki?

— Nie, mamo.

— Dobrze, mój synku, jestem zadowolona z ciebie.

Kazio (na stronie): Jakie to szczęście, że mama o śliwki się nie spytała.



Z kapustą.

— Jakże się miewa mąż? — zapytał doktór żony, która męża miała chorego.

— Lepiej cokolwiek, proszę pana doktora, jadł dziś trochę ziemniaków — odpowiedziała.

— Czy z apetytem?

— Nie, proszę pana doktora, z kapustą.

Skromny.

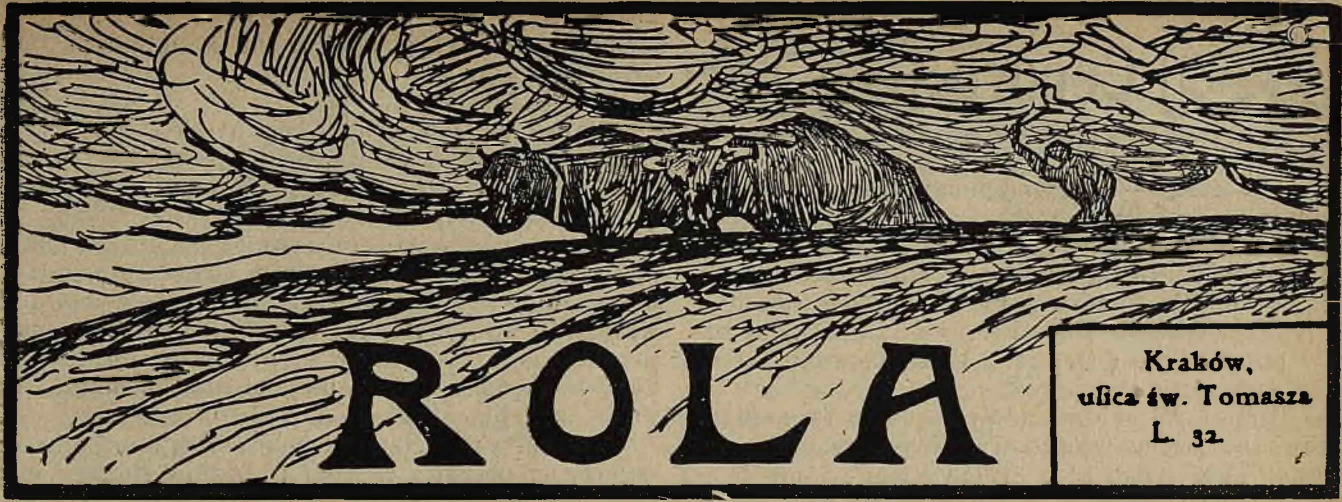
— Spełniliście kradzież z olbrzymią bezczelnością.

— Proszę pana sędziego, w tem rzemiośle to się skromnością do niczego nie dochodzi.

Z listu ucznia rzeźniczego do ojca.

„Kochany ojcze! Mój majster jest ze mnie bardzo zadowolony. Trzy razy już pozwolił mi zakłuć, a jak się dalej będę dobrze trzymał, to już na kolędę pozwoli mi zarżnąć“.

Numer 30. **Rok XIV.** **Kraków, dnia 26 Lipca 1931.**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.381 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Co jest powodem światowego kryzysu?

Kryzys, kryzysowi, przez kryzys, słyszymy, czytamy ogólnie, we wszystkich czasopismach rządowych, opozycyjnych, słowem wszędzie! Cóż to za potwór ów kryzys? Tak, potwór i to straszny, pochłaniający tyleż prawie ofiar co i wojna światowa, mordujący cicho, częściej moralnie niż fizycznie, bez szrapneli i bomb, bez prochu i kul — ale niemniej krwawo i bezlitośnie.

Kryzys, lub inaczej przesilenie, jest to nadmierne nagromadzenie produktów rolnych i wyrobów fabrycznych, przy bardzo niskiej sile pokupu. Inaczej mówiąc jest to nadprodukcja, przy ogólnej biedzie, przy braku pieniędzy. Aby to zrozumieć, musimy sięgnąć myślą aż do źródła zła t. j. wojny światowej, która już była wynikiem nierównego podziału dóbr, a raczej pracy i płacy.

Wojna światowa, przelała złoto z krajów walczących do tych, które walki nie prowadziły (neutralnych) lub przystąpiły do niej na końcu. Takim krajem była Ameryka. Przemysłowa i bogata, sprzedawała krajom europejskim wszystko, co się dało sprzedać, gromadząc zapasy złota. I przyszło dziwne zjawisko: Ameryka, mając zadużo złota, dławi się nim, bo nikt nie kupuje od nich drogich wyrobów, kalkulowanych w dolarach, a Europa ma również nadmiar towarów, których nikt nie kupuje, bo nie ma pieniędzy. Mówi się o nadprodukcji i nadmiernej podaży, wprowadzając pomięszanie pojęć. Niema mowy od nadprodukcji, gdy jest choćby jeden głodny na świecie! Niema nadmiernej podaży, bo ludzie nawet koszul nie mają! Jest tylko brak gotówki.

Ponieważ więc ludzie kupują mniej, niżby potrzebowali, zmuszeni brakiem gotówki, fabrykant nie ma odbiorców i zamyka fabryki, lub ogranicza produkcję i dla braku zamówień oddala robotników, rząd więc wziął na siebie straszny ciężar: wypłaca im zapomogi. To daje jednak miesięczny wydatek w kwocie kilku lub kilkunastu miljonów. Aby podołać zapotrzebowaniom pieniężnym, zaciska rząd śrubę podatkową, obcina pensję i t. d. Prócz wydatków bieżących (pensje, wojsko, policja i t. d.) muszą prawie wszystkie państwa europejskie płacić odszkodowania i długi wojenne i powojenne. Długi te, płacone z odsetkami w ratach, robią poważny wyłom w budżecie państwowym. To też trzeba wciąż pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy! Ponieważ zaś obywatele ubożeją, kupują coraz mniej, gdyż bezrobotny, małorolny, kupuje zaledwo środki spożywcze, a urzędnik i funkcjonarjusz państwowy i samorządowy, mając obcięte pobory, ogranicza się również do rzeczy niezbędnych. Tak więc siła kupna maleje, maleją też podatki niewpłacone regularnie, zamiera ruch towarowy i komunikacyjny na kolejach, wzrastają bezrobotni, a państwo, nie mogąc nadążyć zapotrzebowaniom, szuka nowych źródeł pieniężnych, zaciska do niemożliwości śrubę podatkową i t. d

Trzebaby chyba, idąc śladem kupców, ogłosić niewypłacalność. Te i im podobne skutki kryzysu, odbijają się fatalnie na ogólnej psychice, deprawują i paczą najlepsze charaktery. Człowiek rodzi się bez złota, a na całą swą obronę ma pracę. Tymczasem dziś praca jego okazuje się niewystarczającą lub niepotrzebną, bo miernikiem jest złoto. Wolny człowiek czuje, że ma tak równe z innymi prawo do życia, jak oddycha jednem powietrzem, jak żywi go wspólna matka-ziemia, która wszystkich kiedyś przytuli w swem łonie! Każdy wolny człowiek chce żyć, a nie konać, chce, aby wszelkie udogodnienia cywilizacyjne, wszystkie postępy wiedzy i techniki przestały być dlań bajką z tysiąca i jednej nocy! Wszystkie te pragnienia ludzkie i zrozumiałe, są owym murem, ową zaporą, o którą kiedyś uderzą piersi miljonów i zbroczą ją krwią swą i swych najbliższych... W pogoni za radością życia oślepieni zorzą może polarną nawet, zapomnieć mogą o idei, a pójść za złudnemi pozorami szczęścia! A tymczasem, rozumne, stojące na wysokości swego zadania chęci i współpraca wszystkich państw Europy, dążenia do poprawy nie gołosłowne lecz poparte prawdziwem zrozumieniem, mogłyby poprawić stan opłakany.

Znalazłoby się wyjście z rozpaczliwego położenia, ale trzeba chcieć i działać, aby zetrzeć ze siebie hańbiące przezwisko: „zgniłej, zdegenerowanej Europy". Pierwszym zaś warunkiem jest: „prawo — przed siłą! i ponad nią!"

Marja Waller.

Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

— Tem lepiej, — zdyszaną piersią wołała Adme — tem lepiej!... Im skarb większy, tem miększe serca ludzkie, a ty skrzynie pełne masz skarbów takich! Niech wraca Gil-Gułła z zaręczeniem twojem, że za życie, za wolność Plichty wszystko oddasz; że jedno gzło tylko zostawisz dla mnie... że... Litości, bo rozum stracę!... Spiesz, bo tam może popłynie krew jego, a z nią i moja krew!...

— Adme! Adme! zastanów się, czy ty mówisz przytomnie? Ten pan rotmistrz niekoniecznie do ciebie lgnął, choć wiedział o królewskiem wianie twojem, a ma przybyć, gdy mu w gzle jednem się pokażesz?

— Tak! — zawołała dziewczyna — wtedy będzie mój! zobaczy jak go miłowałam!...

— Ale mnie to nie miłujesz, Adme! — zajęczał Mitras, dłonie na piersi składając. — Tobie łatwo powiedzieć: rzuć! daj!... Prawda — mam szafy pełne i skrzynie pełne — ale nie wiesz, jak krwawo, ach jak krwawo, do tych szaf i skrzyń się doszło.

— Wżdy to wszystko, ojcze, dla mnie zbierałeś! — zawołała Adme.

— Ale nie dla podłego Tatara.

— Czy złoto nad życie moje przekładasz?...

— Z rąk Kantemira tylko nie wychodzi się żywcem.

— I z moich! — zawołała Adme.

To mówiąc, skoczyła do jednej ze ścian, na której wisiał sztylet wenecki.

— Adme! — wrzasnął Mitras głosem nieludzkim, podbiegając do oszalałej dziewczyny.

— Zachowaj złoto, ono ci droższe, niż ja!...

Rozdarła szatę osłaniającą jej pierś — w powietrzu błysnęło ostrze sztyletu... Ale w tej chwili Mitras nogi jej podbił i w ten sposób ochronił Admę od czynu szalonego. Upadła na poduszki sof obiegających pokój półkolem — sztylet z rąk wypadł.

— Zrobię, co chcesz — zrobię wszystko, co chcesz! — wyszeptał Mitras zbielałemi usty, przypadając do kolan córki, całując jej stopy i drżącemi obejmując ramionami. — Zrobię wszystko, wszystko! w jassyr Kantemirowi sam się oddam — tylko ty mi zostań, tylko ty mi pozostań!... Zaraz list piszę, Gil-Gułłę i dwóch pachołków z nim ślę, ale wierz mi, perełko, że złoto na nic, stokroć większe skarby, niż mam, bo Miecz Krwawy nie żywi nikogo, kto w ręce jego popadł. Nie jęcz, nie targaj się — zrobię wszystko, co chcesz!...

I całował i tulił i pieścił i płakał nawet rozżalony Ibrahim Mitras.

A Adme szeptała:

— Jezu! Jezu!... oddal piekło odemnie!...

— Uspokój się, przytomności nie trać!... Może Kantemir przypomni Mitrasa; może... Opamiętaj się, Adme, a wstań i dopilnuj Gil-Gułłę, by do powrotnej drogi się zabierał, ja zaś pismo wygotuję, gdy trzeba będzie, pojadę sam. Adme! — szeptał, nachylając się nad półprzytomną. — Przed chwilą wołałaś: ratunku! a teraz pozwalasz godzinom umykać...

To oprzytomniło Admę.

— Tak — tak — wyszeptała. — Drogą jest minuta, sekunda każda. Wygotuj list... jęcz — proś — błagaj — złotem świeć, ale ratuj! ratuj!...

Gil-Gułła posiliwszy się ochłapem jakimś, znalezionym w kuchni, spał snem kamiennym. Obudziła go Adme.

— Jedź!... — zawołała.

Karzeł na równe nogi zerwał się.

— Słyszysz!... Do Kantemira jedź!...

— Brrr... — zatrząsł się Tatarczuk — ze skóry mnie obedrze...

— Mniej warta skóra twoja, poganinie, niż jeden włos Plichty... No, przetrzyj ślepie i słuchaj: Będziesz miał list, list ważny!... a wracaj z dobrą nowiną, lub obwieś się na pierwszej lepszej wierzbie przydrożnej — rozumiesz?... Przygotuj się, koni nie żałuj — pędź!... Gdy padną, pieniądze masz... Kupuj — przepłacaj, ale goń co tchu, bez tchu!...

Gil-Gułła westchnął głęboko. Spragnione snu oczy przecierać począł i poszedł za Admą, która z gorączkowym pośpiechem wydawała rozkazy i szeptała co chwila:

— Broń go Jezu! broń go Panno Najświętsza!...

Po wyjściu Admy, Mitras długo krokiem się nie ruszał. Namyślał się nad czemś, coś rozważał, niepewność jakąś i wahanie znać było w jego postawie całej.

— Złoto na nic, skarby na nic... znam ja tego tatarskiego królika... a ten Plichta ukropu mu za szyję nalał. Zarzeże go, na pal wbije... to pewniejsze, niż amen w pacierzu! Przeklęta godzina, w której nawinął się Admie przed oczy.

Zrobił krok ku gabinetowi i przystanął.

— O, jak mi ciężko o inkauście myśleć w tej chwili.

Przestąpił próg i do stołu się zbliżył.

— Nie spodziewałem się Kantemirowi przypomnieć — szepnął, siadając przy stole i pióro w inkauście maczając. — A trzeba przypomnieć się... bo Adme zwarjuje, trzeba...

Pot zimny z czoła mu spłynął... Nagle drgnął...

— Brrr! — przez usta wybiegło.

Wpatrzył się przed siebie i krzyknął przeraźliwie.

Na krzyk ten wbiegła Adme.

Mitras ramienia się jej uchwycił i zapatrzony w punkt jakiś, zaszeptał gardłowym głosem:

— Czy widzisz? widzisz?...

Adme strwożona spojrzała w twarz ojca, później obróciła wzrok na miejsce, na które oczyma przerażonemi patrzał. Ale nie widziała nic — przestrzeń pokoju była pusta i w mroku tonęła.

— Teraz ja ciebie pytam, co tobie jest, ojcze?... — drżącemi usty spytała Adme, a widząc wciąż przerażone oczy Mitrasa, położyła na nich dłoń swoją.

Mitras tchnął ciężko.

— Co ci się wyśniło, co?

— Nic — nic... Blask księżyca załamał się i białe uformował widmo.

— Widmo?...

— Nic... nic... Cień firanki na marmur padł... a mnie się zdało...

— A tobie się zdało, że...

— Mara jakaś...

— Jezus, Marja... To może — to...

— Plichta ci się roi?... nie! — uspokajał Mitras. — Cień miał niewieści kształt. Ot, przywidzenie! — dodał po chwili, oddychając ciężko i z bezwładnością bryły martwej opadł na fotel.

Wsparta o poręcz krzesła, Adme drżąca i blada stała, rozglądając się trwożnie dokoła. Miała uczucie, jakby widmo jakieś tu było i nie wyszło jeszcze. Może ukryło się za ciężkimi fałdami kotary, za drzwi

zaszło i tam za progiem czeka, jej tylko wyjścia czeka.

— Idź, Adme! — Mitras się odezwał. — Zaraz dokończę list.

Z bijącem sercem Adme przestąpiła próg bawialni. Czuła, że zmysły straci, jeżeli w chwili tej jej oczom mara się jakaś ukaże, a jednak szła, przypatrując się załomom filarów, ścianom wszystkim i kątom. Ale mar nie było, duchów nie było, cieniów nie było. Błądziły gdzieś na dróg rozstajach, wśród zamczysk rozwalin, na cmentarzyskach zapomnianych.

Mitras do pisania zasiadł.

Drżała ręka, pióro skrzypiało, z czoła spływał pot zimny, który raz wraz dłonią ocierał. Ciężka snać była to praca, bo gdy woskową pieczęć przyłożył, powstał zmęczony, zestarzały, z wargami obwisłemi i zapadniętemi oczyma.

Po chwili stary Jarucha wrota otworzył i Gil-Gułła z dwoma pachołkami z ciężkiem wyruszył poselstwem. Tentent koni brzmiał krótko, bo biegły szybko — i cisza zapanowała w domu Mitrasa, cisza, jaką tylko rozsiewa śmierć wszechmożna.

Adme nie spała. Przepędziła noc całą z szeroko otwartemi oczyma, z ozołem o dłonie wspartem. Jeżeli odczuć można wędrówkę duszy, to duszę Admy czuły Pola Dzikie i Miecz Krwawy i Plichta. Nie spał i Mitras. Zanurzony w fotelu siedział, z głową pochyloną pod jakimś ciężarem wspomnień.

XI.

Pan Symforjan na swoim mierzynie sadził, miotany uczuciami przeróżnemi. Drażniąco podziałała na niego rozpacz Admy, wspomnienie Kantemira łydkami potrącało, los Plichty godzien był politowania, to też Jasinowski wszelkimi możliwymi sposobami tę litość w sobie wzbudzał, mimo to, dziwna jakaś radość wzruszała sercem jego, co razem wytwarzało mięszaninę uczuć sprzecznych.

— Psubrat Kantemir nie wypuści już Plichty — szeptał — ale dziewka uspokoi się i rozumu nabierze, naturalnym zaś opiekunem w jej utrapieniu nie kto inny, jeno ja zostanę. Niezbadane są wyroki Opatrzności, ale trudno rzec, żeby źle kierowała mizernym światem ludzkim. Gdyby dozwoliła mnie Plichtą się urodzić, darłbym się teraz w niebogłosy, bo pewnikiem skórę z niego już zdzierają. Brrr! jak on czerwono wyglądać musi!... A sam się naprosił, żeby się lepiej dziewce przypodobać i przypodobał się psu tatarskiemu. Widzisz Plichta! powiedziałem, że Turek ciebie ubije — i ubije!... Nie Turek to prawdziwie szczery, ale zawżdy wygodzi!...

I rżnął galopem drogą prosto do Żółkwi prowadzącą; towarzyszył mu hajduk przez Bekasa dany, bo drogi bezpieczne nie były, a niezbyt wiele rycerskiego ducha pan Jasinowski miał w sobie.

Pomimo szczerej chęci jak najszybszego zawiadomienia mieszkańców żółkiewskiego zamku o losie Plichty, dnia tego pan Symforjan zadość pragnieniu swemu uczynić nie mógł. Zamek spał, ciemno było w oknach pokojów hetmańskich, jeno w strażniczej baszcie, w izbie pana Baltazara słabe mrugało światełko. Ale to światełko nie przygasało nigdy — pan komendant nie lubił ciemności, a że z kurami wstawał, więc i kaganek ze świtem dopiero gasnął. Jasinowski okrutny świerzb czuł w języku; tchem jednym ze Lwowa do Żółkwi przywalił, aż koń pod nim mydłem się okrył — a tu śpią wszyscy.

— Nie mogliby to zaczekać do mojego powrotu! — mruknął.

Miał wielką chęć do Swińczańskiej nawrócić, ale lękał się po północku do wiedźmy starej zajeżdżać.

Mijał właśnie karczmę przydrożną, stojącą niedaleko wałów zamkowych, gdy do uszu jego doleciał gwar z zewnątrz pochodzący.

— Co to takiego, Chwed'ko? — zwrócił się do hajduka.

— Mabud' hosti.

— Za głośno coś!

— Swarat'sia.

— Hh!...

Jasinowski pomyślał chwilę.

Niedobrze jest łeb zdrowy pod ewangelję kłaść, ale ozór pana Symforjana tak świerzbiał, że wytrzymać nie mógł. Pomacał się po szabli, wąsy naostrzył i rzekł:

— Zajrzyjmy-no tam Chwed'ko!... może przygodzimy się na coś... Ty jeno krucicę na wszelki wypadek przygotuj!

Chłop machnął lekceważąco ręką; zamiast do krucicy się wziąć, w garść splunął i za Jasinowskim do wnętrza karczmy wszedł.

Pośrodku izby stał szlachcic jakiś, wysoki jak tyka, wąsaty jak sum rzeczny, z głową podgoloną, wymachujący pięściami do młodzieńca, który rwał się ku niemu, ale za poły żupana potrzymywał go człek stary.

— Puść, ociec! — wołał młodzieniec.

— Nie puszczę, choćbym padaczki dostał.

— Puść, bo nie strzymam i rodzicielstwa nie uszanuję!

— Opamiętaj się, Bohdańko! — błagał człek stary.

— Tfu, chamskie plemię! — zawołał szlachcic, przed siebie spluwając — a ujrzawszy Jasinowskiego, zwrócił się ku niemu i rzekł:

— Poznajesz mnie wasan?

— Czaplicki?...

— Ten sam!...

— Znam i waćpana i tego starego — odezwał się pan Symforjan. — Nie wiem jeno, kto ten młodzieniec jest.

— Bohdańko Chmielnicki — rzekł szlachcic — z którym zwady pod bokiem jaśnie wielmożnego hetmana szukać nie chcę. Dla respektu, jaki mam dla pana Żółkiewskiego, ustępuję — ale przypomnę mu się jeszcze!

Nacisnął czapkę na uszy, trzasnął drzwiami i wyszedł.

Stary Chmielnicki do Jasinowskiego się zbliżył, a uwolniony Bohdańko z podełba na przybyłego spojrzał, sapiąc jak koń stepowy.

— Zenobi! ta przywitaj się z panem Jasinowskim — powinowaty hetmana — rzekł stary.

Zenobi Bohdan, dwojga imion Chmielnicki, łbem kiwnął.

— Mam się ja z tobą, mam!... — mruknął ojciec.

— O co wam poszło, panie Chmielnicki? — Jasinowski zapytał.

— Ja z Subotowa, a on do Subotowa jechał; ja do jaśnie wielmożnego hetmana, a on ze Lwowa na Ukrainę do mnie. Spotkaliśmy się w karczmie, aż oto Czaplicki nadjechał. Jako widzicie, ława jedna, wystarczyłaby na spanie dla dwóch, ale trzeci na stole ledzby musiał. Ja już spał i Bohdańko chrapał jak należało, aż tu Czaplicki wszedł, a widząc ławę przez nas zajętą, do żyda się zwrócił i pokazując na nas, rzekł: „Wymieść!“ — „A na stół nie łaska?“ Zenobi się odezwał. — „To śpij, łyku“ ten na to. Zenobi zerwał się i do szabli, a Czaplicki

w boki się wziął i nic. „Bij się!“ woła Bohdańko — a ten od chamów — ot i swarka. Zenobi do niego, a ja za poły. Prawda, że Bohdańko był praw, ale ja do burdy pod zamkiem jaśnie wielmożnego hetmana dopuścić nie chciał i to jadąc w poselstwie do niego. Reszta już wam wiadoma, panie Jasinowski... Czaplicki ustąpił z tej samej racji, dla której ja synaczka za poły trzymał...

W części jeno stary Chmielnicki miał słuszność. Czaplicki ustąpił, Jasinowskiego dostrzegłszy, o którego powinowactwie przez Jaszczołdów z hetmanem wiedział, któremu znów burdą karczemną narażać się nie chciał.

— Chwała Bogu, że na tem się skończyło — odezwał się pan Symforjan. — Rad jestem, żem waćpana tu spotkał, a że mi się na sen nie cni, kwartę miodu po dawnej znajomości wypijem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pogrzeb w Chinach.

Chiny są, jak wiadomo, krajem przesądów, nadmiernej uprzejmości i formalności, które manifestują się we wszystkich funkcjach życiowych i społecznych. Odnosi się to w wysokim stopniu i do pogrzebów. Pogrzeb chiński jest bardzo kosztowny. Nieraz synowie zaciągają długi na całe życie, ażeby godnie pochować ojca. Trumna uchodzi za jeden z najcenniejszych podarunków, jaki można zrobić starzejącej się damie albo mężczyźnie, starcowi. Oto jak wyglądają ceremonje pogrzebowe. Zwłoki nieboszczyka, związane mocno sznurami, zawija się w siedm różnobarwnych kap, wkłada się je do trumny, zamyka hermetycznie i wbija się gwóźdź w lewy róg trumny. Równocześnie na podwórzu domu grają muzykanci. Najbliżsi żeńscy krewni muszą klęczeć i zasłonić oczy rękoma, głośno jęczeć, krzyczeć i od czasu do czasu wydawać jeden charakterystyczny wrzask — i to tak długo, aż gwóźdź zostanie wbity. Trumna musi dokładnie leżeć w środku pokoju i to głową zwróconą ku drzwiom. U głowy stoi stół ofiarny z dwoma palącemi się świecami i lampą oliwną. W naczyniu bronzowem leżą prócz tego trociczki, a wieczorem obok nich układa się na stoliku potrawy, które zmarłemu najlepiej smakują. W małej odległości leży poduszka ofiarna i każdy, który odwiedza zmarłego, musi przed nią złożyć ceremonjalny ukłon. Z trumny widzi się tylko przednią część, ponieważ druga część jest oddzielona kotarą, za którą klęczy syn przez cały czas. Dobrzy przyjaciele mogą także udawać się za kotarę i tam złożyć synowi współczucie. Gdy goście przychodzą, wielka trąba na podwórzu głośno dmie — gdy zaś składają ceremonjalne ukłony tak zwane „kotan“, muzyka gra melodje najbardziej rozdzierające uszy. Za poduszką znajduje się wielkie naczynie gliniane, w którem są strzępy złotego papieru, nowe i stare pieniądze. Wszystko to zostaje później spalone, ażeby duchy przypadkiem nie podejrzewały, że nieboszczyk nie miał pieniędzy. Ubóstwo w Chinach jest uważane za najstraszniejsze nieszczęście, a pełny zaś brzuch uchodzi za synonim wielkiego szczęścia.

Bardzo ważną rzeczą jest kwestja garderoby żałobnej. Są tu rozmaite przepisy szczegółowe, z których najciekawszy jest ten, że wnuki zmarłego muszą wdziać całkiem białe ubrania. Następuje potem przewiezienie zwłok do świątyni, gdzie tak długo one pozostają, aż czarownik określi dzień, w którym mogą być przetransportowane do grobowca rodzinnego. Chińczyk musi bezwarunkowo spocząć w rodzinnej ziemi, dlatego też, jak wiadomo, kursują stale z Ameryki okręty, wyładowane chińskiemi zwłokami. W ogromnym pochodzie żałobnym idzie przedewszystkiem pod baldachimem syn zmarłego w lnianem ubraniu, bez kapelusza i na wszelki wypadek podtrzymywany przez dwóch służących. Dawniej był zwyczaj, że syn od czasu do czasu rzucał się na ziemię, gryzł proch, jęczał, przyczem pochód musiał się wstrzymać. Obyczaj ten jest już przestarzały.

Olbrzymią lektykę ze zwłokami niesie kilkunastu mężczyzn, a za nimi jadą na wózkach krewni, służba, przyjaciele z białemi kwiatami lotosu. W świątyni odbywają się jeszcze raz pokłony, poczem wszystkim krewnym i znajomym podaje się jasną herbatę i placuszki. W uroczystości tej bierze bardzo żywy udział liczny orszak żebraków. Byli oni na utrzymaniu nieboszczyka. Codziennie zjawiali się u wrót jego domu, otrzymywali po cencie i ta suma wystarczała na ich skromne utrzymanie. Teraz stracili swego patrona. Będą musieli poszukać sobie innego. A ponieważ to nie jest rzeczą tak łatwą, więc boleść ich tem większa.

Najgłębsza żałoba trwa 49 dni. Najbliżsi krewni nie śmią nigdzie wychodzić i nikogo przyjmować. Drugi okres żałoby trwa przez 3 lata. Wolno odziewać się tylko na biało i unikać wszelkich rozrywek. Transport zwłok ze świątyni do grobowca familijnego jest znowu połączony z niewygodami i ceremonjami. Nieraz grobowiec jest oddalony o kilka mil od świątyni, a drogę tę syn musi odbyć pieszo. Dziwnie odbija od całej tej wystawności skromność grobu. Jest to okrągły, wysoki kopiec, u bogaczy z cementu, u biednych z ziemi bez nagrobka i kwiatów. Ciekawą jest rzeczą, że Chiny nie znają włamywaczy grobowców, jakkolwiek w nich często znajdują się drogocenne przedmioty i klejnoty. Nie jest to naturalnie objaw moralności, ale zabobonu. Cała religja chińska polega na kulcie przodków i żaden Chińczyk nie poważyłby się naruszać spokoju zmarłych. Kto okrada trupa, ten ściąga na siebie złe demony, a najgorszy opryszek woli z demonami nie zaczynać.

Na zakończenie tych szczegółów jeszcze finansowe uwagi. Pogrzeb chiński jest najdroższym na świecie. Sama bowiem trumna, zrobiona z najdelikatniejszego drzewa, niezliczone ilości razy lakierowana i powlekana rodzajem płynnej porcelany, kosztuje od 500 do 600 dolarów! *(Ergo...)*



Gdy południowe dzwony...

Gdy południowe dzwony dzwonią
A głos ich brzmiący wzwyż się wzbija,
Kwiaty się modlą słodką wonią —
Bądź pozdrowiona o Maryjo!
Gdy południowe dzwony biją...

Gdy południowe dzwony dzwonią
I płyną złotej pieśni dźwięki
Rumieńcem płonią się jabłonie
I szepczą: Tobie Maryjo dzięki!
Gdy południowe dzwony dzwonią...

Gdy południowe dzwony biją,
Jedna modlitwa w niebo wzlata:
Bądź pozdrowiona o Maryjo
Królowo wiosny — Pani świata!
Gdy południowe dzwony biją...

Kachna Ł. Łza.

Karmicielka owieczek.



Niezmiernie miły widoczek mamy na obok załączonym obrazku. Oto w cieniu drzew zielonych, gdzieś na leśnej polance, pasły się cztery młode owieczki. Skubały sobie trawkę, pobekiwały co chwilę, jakby oczekując czyjegoś przyjścia, jakby spodziewając się, że nadejdzie ktoś, kto je codziennie odwiedza i podaje z rąk pęki bujnych traw do spożycia. Jakoż nie zawiodły się w swem oczekiwaniu, bo oto za chwilę przyszła ich urocza właścicielka z maleńką swoją pociechą i zgromadzonej koło niej trzódce podaje z ręki soczyste smakołyki. A córeczka jej, stojąc obok, przypatruje się tej miłej czynności swej mamusi i sama trzyma jakiś drobiazg w maleńkich rączkach, aby się podzielić nim z beczącą gromadką. Boi się jednak zbliżyć zbytnio do nich, bo przecież owce mają rogi, to i ubóśćby mogły. I może dziwi się swej matusi, że ta posiada na tyle odwagi, że nie lęka się rogatych stworzeń. Z czasem przekona się maleństwo, że owieczka to nie lew i bać się jej nie trzeba. Nietylko zbliży się do nich, ale i pieścić się z nimi będzie, i skubać im smaczną trawkę i gładzić puszyste ich futerka. Narazie boi się maluchna, ale tak samo zapewne boi się jedno z jagniątek, które tylko z oddali przygląda się ciekawie scenie, jaka przed jego oczyma się rozgrywa. Z czasem i ono się ośmieli i razem z swemi towarzyszkami będzie się rozkoszowało pieszczotami swych opiekunek.

W salonie.

Dorit miała lat siedmnaście. Wicio miał lat dwadzieścia i dwa, Tolek miał lat 18. Och wspólny wiek wynosił tedy pięćdziesiąt i siedm lat.

Gdy byli razem, rozmowa ich była bardzo poważna. Mówili wówczas o sztuce, literaturze, o najnowszych przebojach filmowych, o ciężkim kryzysie gospodarczym, o niepewnych czasach, jednem słowem o tem, co się omawia na każdej ulicy, na rynku, przy gazetce, podczas siesty poobiednej, nad czem ludzie w 57 roku życia kiwają głowami, stwierdzając ciężkie i smutne czasy.

Dorit i Wicio na samotnych przechadzkach rozmawiali o błahostkach.

Wicio mówił jej codziennie, że ślicznie wygląda w tej a w tej sukience, że ma ładną cerę, że żeniłby się tylko z kobietą do niej podobną, że... że... i t. d. Dorit dziękowała za komplement, głaskała ambicję wewnętrznem zadowoleniem, przypinała mu do butonierki kwiatki zerwane w parku, i tak sobie spacerowali.

Dorit miała swoje grymasy. Nie znosiła dymu tytoniowego, była niekiedy egoistką, aż do cierpkości, zazdrosna, dąsała się, zobaczywszy Wicia z „inną", dawała mu to poznać, ironizując zeń w rozmowie, kaprysząc i zdążając świadomie do sprzeczki.

Gdy nieporozumienie między nimi przybrało ostrzejsze kształty, szli wtedy zgodnie nad Rudawę.

Ona siadała nad brzegiem rzeczki, tyłem do niego.

On siadał tuż za nią, żując w ustach niezapalonego papierosa.

Wreszcie próżno naczekawszy się na słowo przebaczenia, brał jej rękę i tulił do ust.

Dorit była zimną, ale zlekka przymykała oczy, rumieniła się i szeptała cicho:

— Poprawisz się?

Uczuciowy pocałunek i westchnienie były jego odpowiedzią. Poczem zgodni wracali do domu i zawsze tak jakoś „przypadkowo" spotykali Tolka.

Tolek kochał się skrycie w Dorit. Był ambitny. Nigdy jej nie prosił o spotkanie, nie mówił z nią o swych uczuciach, nie słał zabójczych ni prosiebnych spojrzeń, nie zżymał się na Wicia, nie zazdrościł im, był bowiem idealistą, cieszył się ich szczęściem, macosząc swe własne pragnienia.

Zresztą widywał ją zawsze z Wiciem. Warunki tak chciały, że miłość jego miała pozostać wiecznie niezaspokojona, niezrozumianą, niepocieszoną.

Tolek czuł się poetą, bo pisał wiersze.

Był zadowolony, że cierpi w tak młodym wieku. Przyjmował ten ból, jako coś nieodzownego, wiedział bowiem, że poeci krwawicą duszy swej i bólem serca swego karmią świat.

Bogowie sprzyjają poetom. Tolek wpadł na pomysł. Prosił Dorit o konwersację niemiecką.

Dorit władała tym językiem bardzo dobrze.

Tolek mówił nieźle.

Wicio nie rozumiał słowa.

Tolek, tedy przemycał w rozmowie formalne oświadczyny, wyznania, prośby i zaklęcia, na co Dorit odpowiadała tak poprawnie, że Tolek nic nie rozumiał. Ale ambicja nie pozwalała mu przyznać się do tego.

Ale Wicio słuchał, poprzestając na wyjaśnieniu, że mówią o pogodzie.

Jednym ze skutków tych „lekcyj" było spotkanie zapowiedziane przez Dorit.

Tolkowi uśmiechnęło się szczęście.

Nie śmiał spojrzeć w oczy Wiciowi, bo w fantazji swej widział wyrastające różki z jego wysokiego czoła.

Spotkali się.

Szli długą aleją lipową pod miodny zapach ich. Mówili niewiele. Tolek czuł się dniem dzisiejszym tak uszczęśliwionym, że słów nie mógł znaleźć, milczeć wolał.

Dorit miała minę zagadkową. Milczała zawzięcie. Rozmowa się nie kleiła. Czuł to Tolek.

— Czy pani bardzo lubi Wicia?

— Bardzo go lubię.

— Ach, tak!

— Czy pani ma mi coś ważnego do powiedzenia?

— Nie.

— Dlaczegóż pani wydała mi spotkanie?

Zagryzła gniewnie wargi.

— Ciołek — przemkło jej przez myśl.

— Milczenie pani sprawia mi przykrość.

— ?

— Kocham panią!

— ? Ja także, to... jest...

— Proszę nie kończyć.

Ośmielony objął ją ramieniem.

— Chciałaby pani tak iść przez życie ze mną?

— Parskła mu w oczy śmiechem.

Usiedli w parku.

Wyjęła z teczki moc listów.

— Czytaj pan — rzekła.

Przeglądał.

Wszystkie były adresowane do niej. Wszystkie wzdychały, tęskniły, mamlały się w cielęcych łzach, były naiwne, ot nabrzmiałe bezsensem pierwszego uczucia. Odnalazł w nich cząstkę swej duszy, i dość wierne odbicie swego stanu.

Dlaczego mu kazała czytać? Czy to zaufanie, czy chęć urośnięcia w jego oczach na kobietę uwielbianą przez świat!

Przeglądnął.

Mrok padał. Wysmukłe topole parku, strzelające zgodnym tłumem w niebo, tu i ówdzie białe popiersia posągów, cisza wieczorem rozmotana wokół, wysnuły w wyobraźni młodzieńczej miraż krainy włoskiej, ściemniałe obłoki i błękitem nasiąkłe powietrze omarzyło ich.

Roztkliwił się w sobie.

Gwałtownym ruchem dotknął ustami jej szyi.

— Co panu jest?

Spojrzał na nią pieściwym, miłosnym wzrokiem. Skurczyły mu się rysy twarzy w chciwy wyraz pragnienia.

Żarny dreszcz wstrząsnął nim.

— Dorit — wyszeptał.

Utonęli w długim, namiętnym pocałunku.

Wybaczcie im, razem mieli 35 lat.

— Ty głuptasku, nie wiedziałeś...

— Nie okazywałaś mi tego.

— Mój!

— Moja!

Zakolebały się drzewa. Tchnął nimi wiatr od pól. Przyniósł im zapachy łąk koszonych, kwiatów, co ostatnie wydawszy tchnienie, stuliły pod zachód kielichy.

Przyniósł im beztroskość wieczoru, uścisk miły rośnej nocy, dany ziemi gorącej.

Runęła im na twarze spieka na wietrze nanizana, pęd od ostępów dziczyzny spalonej dążliwa.

Cudowność chwili ostatniej zlala się w ich pojęciach z cudownością ziemi tej dobrej.

Wewnętrznym entuzjazmem wieczór ów, zawiśli na swoich twarzach wdzięcznem umiłowaniem.

A młodzi byli, a uwielbiali się pieszczotą.

A nieznane im jeszcze były one łzy ponocne, padające z nędzy sinych ócz, jęki te walące głuszą w bezmiar świata, ponętowania te dygocące przekleństwem dla złego bytowania, zazdrość ta i złość piekielna, ostra w nożu złoczyńcy, co tkwi w zaułku miasta na żer. Przyniósł im wieczór ów dobrą myśl dla ludzi i ziemi tej.

— Pójdziemy już.

Wstał, czuł na ustach gorącość jej warg, w głowie bezpamiętny szał młodego całowania.

Szli wolno.

— Dobry wieczór.

Drgnęli, przed nimi stał Wicio; blady był, zły jakiś.

— Tolek, będziesz łaskaw jutro do mnie przyjść.

Skłonił się i odszedł.

Spojrzeli po sobie.

— Ech! — mruknął.

— Ach! — zawtórowała Dorit.

* * *

W salonie państwa Donickich cisza była. Tylko Witold szeleścił, składając dopiero co odczytane arkusze.

Pani Dorit zatopiła się we wspomnieniach.

Pan Wiktor szczypał nerwowo blond-wąsiki.

Witold spoglądał na nich niepewnie.

— Myślę Wiktorze, że nie uraziłem cię odczytaniem wspomnienia ze studenckich czasów.

— Bynajmniej.

— Jakże się wszystko zmieniło. Życie dziwny romans plecie.

— Dlaczego pan to napisał — zagadnęła pani Dorit.

— By wspomnienie, które zaliczam do najpiękniejszych, ocalić od zniszczenia.

— Czy pan coś nie przesadził w opisie tego wieczoru?

— Myślę, że wtedy czuła się pani szczęśliwą.

— Ja i teraz czuję się szczęśliwą — zaakcentowała.

Pan Wiktor ucałował czule małżonkę.

— Wiem o tem — rzekł smutno Witold.

Przeszli na werandę.

Witold złagodził wrażenie swym polotnym humorem.

Barnaś Kazimierz.



Pożegnanie Beskidu.

Czy w smutku, czy nie w smutku żegnasz mnie Beskidzie,
Czy pójdę na kraj świata, czy zostanę blisko —
I tak mego życia olbrzymie kolisko
Skąpałeś w biedzie.
I tak mi duszę rozmarzyłeś w lesie
I wonią sadów upił, jako winem,
Że mnie dziś jeno gdzieś — hań — w wyże sine
Tęsknica niesie...
I tak mi kraju kochany nad życie
Już u kołyski uskrzydliłeś ducha,
Że mi dzień każdy dziś ogniem wybucha
Drży serca biciem...
Nie mogę Cię żegnać, idąc w świat daleki
Ty mój prześliczny kraju olesiony,
— Bo pójdziesz ze mną w sercu mem niesiony
Już zawsze! Na wieki!...

Jacek Orlik.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Meksyk IV.

Z pomiędzy licznych ras, które kolejno w Nowym Meksyku rozbijały swe namioty, najliczniejsza niezaprzeczenie jest rasa meksykańska. Obok niej,



Widok domu w Mitli.

lecz w znacznej mniejszości zaludniają tę krainę plemiona indyjskie, osiadłe i koczujące, jak również Amerykanie, raczej zlepek rozmaitych ras, który już w drugiem pokoleniu przyswoił sobie nietylko język, ale i charakter mieszkańców Ameryki północnej.

Właściwi Meksykanie są potomkami dumnych i walecznych hidalgów hiszpańskich, którzy odkryli i podbili większą część Nowego Świata. Rysy ich twarzy posiadają wszelkie cechy hiszpańskiego typu, a chociaż niekiedy także kilka kropel krwi indyjskiej płynie w ich żyłach, są oni jednak przedewszystkiem Hiszpanami.

Pod względem powierzchowności jedno tylko zarzucićby im można, a mianowicie zupełny brak ochędóstwa. Nie mówimy tego o klasach wyższych meksykańskiego społeczeństwa, nie różniących w niczem od sfer inteligentnych w innych krajach, ale o ogólnej masie ludności. Otóż cały ten ogół nienawidzi wody. Kąpiele są dla niego prawdziwą katuszą, wystarcza zaś rzucić okiem na twarze i ręce przeciętnego Meksykanina, aby się o tem przekonać.

Wszyscy ci jednak ludzie, a zwłaszcza meksykańskie kobiety nie są wolne od pewnego rodzaju



Dom z bramą przejazdową.

próżności, chcąc bowiem zachować delikatność cery, używają zamiast pudru, miałko utłuczonego gipsu, którym sobie obficie obsypują twarze. Z początku komicznym wydaje się widok mnóstwa osób z twarzami pomalowanemi na biało, jak u cyrkowych klownów, stopniowo jednak i do tego, jak do wielu innych rzeczy, można się przyzwyczaić. Natomiast prawdziwie godnym pożałowania jest dawny strój narodowy, który obecnie coraz bardziej się modernizuje. Niegdyś uwielbiano tu ubiór dumnego hidalga, złożony z olbrzymiego „sombrero", czyli kapelusza, ozdobionego złotymi lub srebrnymi galonami, krótkiej, haftowanej kamizelki, ślicznego jedwabnego pasa i spodni, błyszczących z boku dwoma rzędami dużych srebrnych guzików; dzisiaj już ten malowniczy kostjum znikł prawie bez śladu, pozostawiając po sobie tylko dawny kapelusz o szerokich skrzydłach, lecz bez galonów i żadnych zgoła ozdób. U kobiet tradycyjna mantyla znika również stopniowo, ustępując coraz bardziej miejsca krótkim pelerynkom i modnym kapeluszom. Zresztą Meksykanin odznacza się wogóle oszczędnością i wstrzemięźliwością, posuniętą do najwyższego stopnia. Zwykły posiłek uboższych stanowi kawa z sucharkami i grzankami, u bogatszych zaś kawał suszonego



Szczątki dawnego zamczyska.

mięsa, ugotowany w rosole i zaprawiony suto papryką, albo soczyste fasole w takiż sam przyrządzone sposób.

Nie przeszkadza to jednak Meksykaninowi być nadzwyczaj uprzejmym i gościnnym. W miastach, posiadających charakter prawdziwie meksykański, niema ani restauracyj, ani hoteli, ale natomiast każdy może znaleźć bezpłatną gościnność u swych „compadres" (kumów) lub przyjaciół, jeżeli zaś nie ma ani jednych, ani drugich, to u wszyskich mieszkańców bez wyjątku. W ubogiej tej krainie nikt nie umiera z głodu, gdyż miłosierdzie jest tak głęboko zakorzenione w sercach Meksykanów, że żaden z nich nie omieszkałby podzielić się z potrzebującym

ostatnim kawałkiem chleba. Uprzejme przyjęcie znajduje w ich domu nawet niesympatyczny skądinąd Amerykanin, w którym widzą oni zawsze najeźdzcę i intruza. I nic dziwnego, gdyż przybywający tam Amerykanie rekrutują się z najgorszych mętów społeczeństwa. Skutkiem tego obie powyższe rasy wcale się ze sobą nie łączą, a zdarza się nieraz, że Amerykanie zakładają własne miasto obok meksykańskiego, lecz oba te miasta, oprócz tej samej nazwy, nie mają zresztą nic wspólnego. Wprawdzie jeden i ten sam burmistrz rządzi zwykle w obu dzielnicach, lecz te zarówno pod względem kształtu domów, jak i charakteru mieszkańców, zupełnie od siebie odrębne. Amerykanie budują z kamienia lub cegły wykwintne, dwu lub trzypiętrowe domy z łazienkami, wodociągami i elektryką, o kilkanaście zaś kroków od takich gmachów wznoszą się ubogie domki meksykańskie, zupełnie takie same, jak istniały przed wiekami.

Każdy dom meksykański tworzy czworobok, w pośrodku którego znajduje się zwykle niewielki dziedziniec. Dokoła domu ciągnie się obszerna weranda, na której w wolnych od pracy chwilach zbiera się cała rodzina.

Na obrazkach naszych podajemy cztery widoczki z miasta meksykańskiego Mitli, względnie z najbliższej okolicy. Na pierwszym z nich widzimy charakterystyczne zabudowanie miejskie, gdzie na pierwszy plan wybijają się werandy, położone



Ruiny domu w Mitli.

w trzech szeregach ponad sobą. Drugi przedstawia jakiś większy gmach, popod który prowadzi brama przejazdowa. Na trzecim widzimy szczątki starożytnego zamczyska, które wybudowali pierwsi przybysze hiszpańscy do tej krainy. Na czwartym widnieją ruiny budowli w Mitli, a obok nich dwóch Meksykanów w swych charakterystycznych strojach.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Po miastach teraz okrutecnie gorąco, a z tej gorącości tak wam perfumy śmierdzą, ze ani rada wytrzymać. Coprawda to je urzędniki magistrackie całemi bekami kajsi za miasto wywożą, ale i tak na to nic nie poradzi, bo jedno wywiezą, a drugich ludziska bez noc narobią i znowu jest tak, jak było poprzódzi. Bez to tez jak jesce ma kto jakie grajcary po niebosce babce, jedzie na wieś, aby naciągnąć w siebie na cały rok świzego powietrza. Kto ma więcej pieniędzy, to jedzie tam, gdzie trza więcej za to samo płacić, a kto mniej, to i taką Psią Wólką nie pogardzi.

Z tej okolicności powiada tez Witek Makolągwa do swojej Magdy:

— Miarkuj se, Magda, co ci powiem. Juz się letniki kręcom po wsi za pomieskaniami. Ale ja ci powiadam, zadnem urzędnikom, prefesurom, albo inksem łachudrom nie wynajmiewa. Rozumies, babo? Dziady to teraz piesecki, ze jak se kupią u chłeka jedno jajko, to śtyry osoby bez cały tydzień niem zyje. Zrozumiałaś?

— A dy rozumiem, Wituś, rozumiem!

— Dziady one są i tyla. Rzund ściągnął jem precenty z ty penksyji, to śnich zadnego prefitu nie będzie. Zreśtą z takiemi to ino kłopot.

— O idom jakieś! Widzis Wituś!

— Gadał ja śnimi będę, a ty się nie wtrącaj!

I jakoze zza stodoły wyłoniło się dwie postacie, zupełnie niepodobne do siebie. On chudy, jak scypa, zeby go dwoma palicami na pół przełupał, ona za to króciutka, grubiutka, jak purchawka, z jednem brzuskiem we środku, a z drugiem pod samą brodą.

— Dzień dobry, gospodarzu! — powiada miejska przywłoka. — Słyszeliśmy, że u was można się przez lato zatrzymać...

— Lacego nie? Przecie łońskiego roku osiem osobów tu było i to nie byle skąd, ale z samej Warsiawy, takie, co i na śniadanie, i na obiad, i na wiecerzę nawet samego ministra zuźryć mogą.

— No, nas jest dwoje i bezdzietni... A woda dobra w tej studni?

— Coby była niedobra! Pięćdziesiąt roków z niej pijewa, a jesce się nikt nie otruł. A sama gadzina co jej wychlaptała, to tyle wody ani w samym potopie nie było. Mokrzuteńka, a jak się do niej trochę okowitki doleje, to wrazie potrzeby mozna se nią nawet głowę zawrózyć. Ale do kompieli, to jakby to powiedzieć, to je i nimą...

— Nie rozumiem...

— Tu za oborą jest taki dołek; jak Poniezus z nieba siknie dyscykiem, to i w niem się wody uzbira. Mozna się w niem kąpać po same kolana. A jak nima dyscu, to i z kąpielą na nic.

— Ale ja pytam o rzekę...

— O rzekę? Niby to pan ucony, a nie wie, ze u nas rzyk nie brak. Ja tam choć chłop nieucony, ale pamiętam ze skolnych casów, ze w nasych okolicach rzyk nie brakuje. Jest Soła, Skawa, Raba, a i nasa Wisełka tez nie u Miemców, ino w nasej rodzinnej ziemi. Znajdzie się, jak nie jedna, to dru-

ga, a jak trzeba będzie, to paniusiów zawiezę, ile ino razy będziecie chcieli.

— A las jest?

— Je las, wielgi las! Niech ino pan popatrzą! Tam haj, het, het, całe góry są pokryte lasem. Niech ino wietrzyk od południa zawieje, to powiadam wam tyle tu lasowego powietrza nagoni, ze go wszyćkiego ani napołykać nie mozna.

— A plażować jest gdzie?

— Pla... cego? Bo nie dosłysę...

— Plażować, to jest na piasku do słońca się opalać.

— Acha, juz wiem! Kumpiele słoneckowe znacy się. Jest gdzie i owsem. Za oborom mozna się grzać na piasku, ze jaze hej. Wszyćkie moje kury tam się wygrzewają... Jak państwo zechcą, to się kury odgoni...

— A ubikacja jest gdzie?

— Cego? Niedosłysałem...

— No jak potrzeba koniecznie gdzie wyjść z potrzebą...

— Acha, juz wiem. Mozna za oborom...

— Jakże? I kąpiele za oborą i plaża i wychodek...

— Nie mówię, ze akuratnie w jednem miejscu... Za jednem rogiem kompiele słonecne, za drugiem ta edukacyja, za trzeciem kompiele wodne... Zreśtą, jak będzie potrza, to się to patyckami odznacy, aby nie było pomyłki...

— A bezpiecznie tu jest? Złodziei niema?

— Co tez pan powiadają! Od nas do innych wsiów daleko, a do miasta jesce dalej. Choćby nawet przypadkowo co zginęło, to zostanie między swojakami...

— A ilebyście tak chcieli za mieszkanie na dwa miesiące?

— To zalezy... A cem pan jest?

— Urzędnik podatkowy!

— Cooo? Łachudro! I cegóześ odrazu nie mówił?! Wypytuje się i wypytuje, a cłek mu ućciwie odpowiada! Śpiegowskie nasienie! Ani się obejrzys, jak ci sekweściarzy przyśle. Won, pókim dobry, a jak nie, to spuscę Burka z łańcucha, a do drugiego roku go popamiętas...

— Wituś!...

— Trzymaj, babo, pysk za cholewami i nie misaj się do gospodarzkich rzecy!

ADOLF DYGASIŃSKI.

REICZKA.

Miała w piersiach niepokój, w głowie szum dziwny. Dzwoniło jej w uszach nieustannie: „Bo ja okrutnie lubię Reiczkę... Nie gniewaj się, mojaś-ty". A na każdym wyrazie spoczywał jakiś nacisk osobliwy. Wśród tego zamętu duszy Kuba wydał jej się natrętem nieznośnym i oberwał takiego klapsa, że obrażony poleciał na figle do kocicy.

Reiczka opamiętała się dopiero wtedy, kiedy sadze zapalone w kominie poczęły straszliwie huczeć i sypać się w garnki. Nie wiedziała, co począć i w przerażeniu niemem spojrzała na Piotrka.

— Sadze się zajęły! — rzekł Sokolik spokojnie, gdyż sprawa pożarna wydawała mu się drobiazgiem wobec tego, co czuł w duszy. Jednakże w mgnieniu oka porwał konew z wodą i zalał ognisko.

Nic to nie pomogło. Chata trzęsła się od huku pożaru w kominie. Młodzieniec wypadł w skok przed dom, a za nim — dziewczyna zupełnie nieprzytomna z przerażenia. Nad chałupą widniał słup ogromny ognia. Całe szczęście, że wietrzyk, by najmniejszy, nie zwracał tych płomieni ku strzesze.

— Jezus Marja! — krzyknęła Głowaczówna, załamując ręce, i bez pamięci, jak szalona, rzuciła się do izby, jęła przez okna wyrzucać różne sprzęty. Świadomie, czy nie, pootwierała wszystkie klatki. Ptaki z wrzawą świergotu opuszczały więzienie i cała ich gromada różnobarwna obsiadła lipę przed domem. Nawet Kuba, porwany ich zapałem do wolności, z okrzykiem „Re-i-cko" opuścił izbę na chwilę i pląsał się po gałęziach lipy, gdzie rój skrzydlaty odśpiewywał radosne pieśni wyzwolenia.

Jednocześnie z tem wszystkiem Piotrek bynajmniej nie marnował czasu. Żwawo pojmał jednę z gęsi spokojnie łażących po murawie, wdarł się z nią na strzechę zagrożoną pożarem i wtłoczył ptaka rozpaczliwie skrzeczącego w komin buchający płomieniami. Gęś tłusta, ciężka przetarła ogniste gardło komina, ugasiła pożar i martwa spadła na ognisko, wywracając warzniczki z wieczerzą. Dokonawszy tego dzieła, Sokolik, okopcony i uznojony stanął na progu izby.

— No, już po strachu! — rzekł z prostotnym uśmiechem zadowolenia.

Reiczka spojrzała nań przelotnie. Urósł w jej oczach pod każdym względem. Nigdyby nie powiedziała, że to jest ten sam Piotrek, którego znała oddawna.

Teraz w milczeniu znosiła do izby graty powyrzucane na podwórko, ustawiała każdą rzecz, gdzie należało. On dobrze zrozumiał swój wpływ na dziewczynę: przecież mężnie ocalił chatę od pożaru. Więc był bardzo szczęśliwy i rączo pomagał jej w zajęciach. Śmiałość jego wzmogła się nawet tak dalece, że przemówił głosem wyraźnym, stanowczym:

— Wylękłaś się oto bez potrzeby!

— A pocóż ci się zachciało mówić nie do rzeczy? — odrzekła, nie wiedząc, że mu sama niedorzecznie odpowiada. Rozmyślała bowiem właśnie o jego wyznaniu: „Ja cię okrutnie lubię".

Prawdę mówiąc, było to istotną przyczyną pożaru.

Wtem Piotrek spostrzegł klatki otwarte i bez ptaków.

— Boże! — zawołał. — A cóż się sało z ptakami?!...

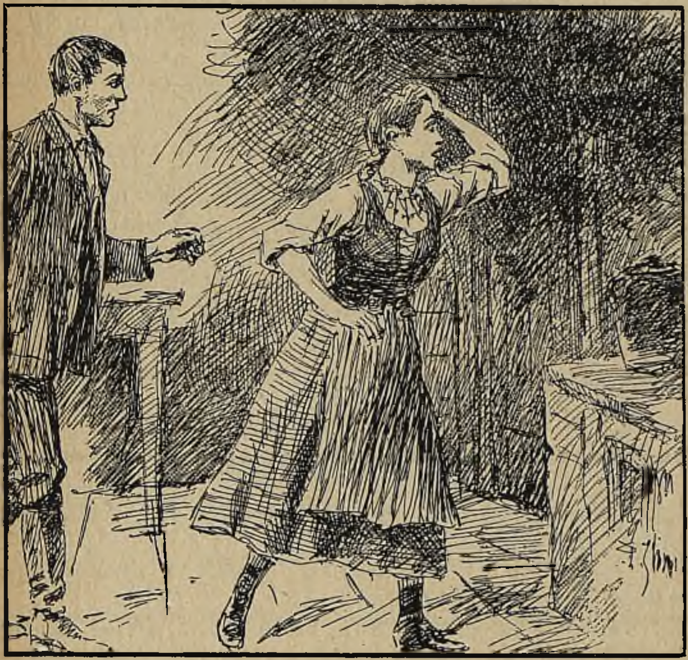
— Ptaki poszły do innych ptaków!... — odpowiedziała spokojnie, a po chwili dodała z niejakim przekąsem: — Może ci żal, że już są na wolności?...

— Ee, nie, nie! — odrzekł pospiesznie. — Jeno myślę sobie, co to będzie, skoro Paweł przyjdą i zobaczą.

— Cóż ma być? Rozumie się, będą gniewy... Ale ja wolę już znieść gniewy tatusia, niż ciągle mieć na oczach męczarnie tego biedactwa w klatkach.

— Ba, — myślał Sokolik — Głowacz miewa różne gniewy: czasem zeklnie tylko i zwymyśla od ostatnich, częściej trzaśnie, kopnie, przeciągnie kijem... O, jak Bóg na niebie, nie puści on dziś płazem takiej winy! Toć jutro miał jechać do Kielc z tymi ptakami — pono zamyślał wysłać je do Warszawy — a tu... Matko Boska, złośnik taki gotów ciężko sponiewierać dziewczynę!

I mrowie przeszło po ciele chłopaka, wyobrażającego sobie gniewy ptasznika starego. A Reiczka ze spokojem — może pozornym tylko — zabrała się do powtórnego przygotowania wieczerzy. Uporządkowała ognisko stłumione, przystawiła do ognia warzniczki z wodą, zasiadła na ławie i poczęła kozikiem oskrobywać kartofle.



Sadze zapalone w kominie poczęły strasznie huczeć...

Cisza panowała w izbie, przed chwilą niedawną pełnej wrzawy ptaków. Teraz szpak tylko, dokuczając kocicy, powtarzał swój okrzyk zwykły, a od czasu do czasu rozlegał się plusk kartofla, wrzuconego po oskrobaniu w naczynie z wodą.

Piotrek posępny podejrzliwie spoglądał w okno otwarte: widocznie oczekiwał stamtąd nadejścia jakiejś burzy. Nareszcie spostrzegł w oddaleniu postać Głowacza wysoką i łatwą do poznania po kaftanie zielonym spłowiałym i po opuszce kapelusza obwisłej naokoło. Młodzieniec cichutko wymknął się z izby, a kiedy już znikał we drzwiach, dziewczyna wysłała w pogoń za nim oczy, które mówiły: „Dlaczego mię opuszczasz?"

Pozostałby chyba, gdyby widział to spojrzenie wymowne.

Naturalnie, dziewczę nie wiedziało, że młodzieniec poszedł na spotkanie ojca z tem postanowieniem w duszy: „Piorun, mający uderzyć w Reiczkę, niech spadnie na moją głowę! Ja biorę na siebie winę oswobodzenia ptaków!"

Pozostała sama w izbie i, gdy spojrzała na klatki puste, pomyślała:

— Uciekł: pewnie się uląkł gniewów tatusiowych...

Czuła w sobie jakiś niepokój, tęsknotę, może i obawę przed ojcem. W tym nastroju duszy, zaśpiewała pocichu, smętnie:

„Da idę ja idę bez gaiczek sama,
Da kwitnie mój wianeczek, jak na morzu piana..."

A Kuba jej zawtórował:
— Reiczko! Reiczko!....

Ciąg dalszy nastąpi.



Poradnik gospodarczy.

Tomasyna azotniakowana pod oziminy.
(Dokończenie).

Wychodząc z tego założenia Państwowa Fabryka Związków Azotowych w Chorzowie, doceniając słuszne potrzeby i życzenia rolników, wypuszcza w tym roku na rynek tomasynę azotniakowaną, która zawiera 9% azotniaku i 10% kwasu fosforowego. Rolnik więc, stosujący ten nawóz, pozbywa się bez opłaty uciążliwego mieszania tych dwóch nawozów, otrzymuje gwarancję, że kupuje tomasynę nie sfałszowaną, ma rękojmię, że azot dzięki tomasynie zostanie wykorzystany, a w końcu, że daje azot i kwas fosforowy w nawozach dla ozimin w największej odpowiadającej im formie.

Niezapominać przytem wypada, że obydwa nawozy mają alkaliczny charakter, gdyż każdy zawiera przeciętnie około 50% skutecznego wapna; wapno to przyczynia się do neutralizowania kwasu roli, a wkońcu do uruchomienia resztek organicznych substancyj z mierzwy, co przy oziminach, jako daleko po mierzwie przychodzących roślinach ma niepomierne znaczenie.

Widzimy więc, że koncepcja Państw. Fabryk Związków Azotowych jest przemyślana i bardzo szczęśliwa, zaczem rolnik powinien z tej dogodności skwapliwie korzystać, stosując tę mieszaninę nawozów. Nadmienić wypada, że Niemcy już oddawna z bardzo dobrymi skutkami stosują podobną mieszankę w formie „Nitrofoska", nawozu składającego się z azotu, fosforu i potasu. Co do ostatniego składnika, to należy zbadać rolę na potrzeby jej co do potasu, ażeby w myśl prawa minimum, które brzmi, że: „plony uzależnione są od tego składnika, który w najmniejszej ilości znajduje się w glebie" — nie ponieść strat. Zaznaczyć wypada, że oziminy mają zdolność pobierania potasu z gleby tem większą przy dodaniu im w dostatecznej ilości azotu, fosforu i wapna, czyniące je wprost głodne na potas. W razie okazania się, po zbadaniu przez doświadczenie, wielkiej potrzeby nawożenia roli potasem, należy go dać w formie kainitu, który mniej podlega wypłukaniu niż sól potasowa, lecz zapomnieć nie wolno, że kainit ze względu na niepożądane dla roślin poboczne składniki, należy wysiać na 4—3 tygodnie przed wysiewem ziarna.

Rolnik, który w ten sposób pomyśli o zasileniu swych ozimin w tym roku i zastosuje się do wyżej podanych wskazówek, nie będzie napewno żalił się, że pozwoliłem sobie w tym artykule mu o tem przypomnieć.

Niejednego rolnika w obecnych czasach ciężkich dla rolnictwa zrażają artykuły nawołujące do zużywania nawozów. Nieraz słyszy się zdanie: „Nawozy sztuczne nie opłacają się". Tak twierdzić nie wolno, bo należy pamiętać po pierwsze, iż obciążenia ziemi (podatki i świadczenia) nie zależą od zbiorów, a więc przy większym zbiorze, jak również przy małym, są jednakowe z równej powierzchni. Uprawy ogólne są prawie jednakowe, tak bez, jak i przy stosowaniu nawozów, a zbiory przy stosowaniu racjonalnem

są o wiele większe. Twierdzenie, że zmniejszenie produkcji płodów rolnych, a więc ekstensywna gospodarka poprawi sytuację, jest gołosłownem, gdyż przy wielkich różnicach cen, jakie mogą zapanować przy konkurencji obcego zboża, wyklucza możliwość wielkich zwyżek w cenach.

Pamiętać należy jeszcze i o tem, iż słabe, niezasilone rośliny padają najłatwiej pastwą różnych klęsk (choroby, pasożyty i owady) i że niezasilone ziemie tracą na swej sile żywotnej, co w rezultacie odbija się wysoce niekorzystnie na urodzajności danej gleby. *Jerzy Eyssymontt.*

O potrzebie światła w stajniach i chlewach.

W wielu gospodarstwach pomieszczenia dla inwentarza są przeważnie ciemne, lub oświetlone niedostatecznie i światło do nich przenika nieraz tylko przez znajdujące się w ścianach szczeliny lub otwory przypadkowe. Światło takie zaledwie pozwala na to, ażeby zwierzę widzieć i dać mu pożywienie, lecz np. do dojenia jest ono niewystarczające i trzeba już otwierać drzwi.

Błąd to jest wielki ze strony naszych gospodarzy — ponieważ dobre oświetlenie obórek i chlewów jest nadzwyczaj ważne dla zdrowia zwierząt.

Badania specjalne w tym kierunku, przeprowadzone, wykazały, że krowy wyprowadzone do widnej obory, dają zaraz o wiele więcej mleka. Światło słoneczne, jak również i świeże powietrze konieczne są szczególnie dla zwierząt młodych (źrebiąt, cieląt i prosiąt), jako dla organizmów wyrastających i rozwijających się, a tymczasem widzimy, że najczęściej chowane są one w pomieszczeniach zupełnie prawie ciemnych.

Należy również pamiętać o tem, że światło bardzo pomaga gospodarzowi do lepszego i łatwiejszego obserwowania swych zwierząt i badania stanu zdrowia; naprzykład w obórce widnej prędzej zauważy się jakiś obrzęk ciała, jakieś skaleczenie, zapalenie racic, chorobę skóry i t. p., a w pomieszczeniu ciemnem różne takie objawy mogą ujść uwadze ludzkiej i wpadają w oczy dopiero wtedy, gdy już choroba bardzo się rozwinie, posunie i stanie trudną do wyleczenia, np. gdy zwierzę traci chęć do jadła. Wreszcie światło ma własność bakterjobójczą i niszczy wiele różnych zarazków nagromadzonych w każdem pomieszczeniu na ścianach i sufitach.

Poradnik lekarski.

Jak należy ratować topielców?

Każdego roku podczas lata, ludzie toną podczas kąpania się w stawach, rzekach i potokach. Do końca sezonu kąpielowego jeszcze daleko, warto więc podać w gazecie kilka wskazówek, jak ratować tonących.

Otóż, gdy wyciągną ciało z wody, chociaż na pozór może się zdawać, że człowiek już żyć zupełnie przestał, jednak nie należy tracić nadziei, bo nieraz można go jeszcze przywrócić do życia zapomocą różnych sposobów. Przy wyciąganiu topielca z wody trzeba się starać, żeby ciała nie poranić, nie należy więc przytem używać żadnych ostrych kołów lub haków, najlepiej uczynić to sznurami lub siecią.

Trzeba przedewszystkiem zanieść topielca do ciepłego i suchego miejsca, najlepiej do chaty, a jeżeli w pobliżu niema żadnego mieszkalnego domu, to trzeba go położyć na suchym i ciepłym piasku. Do ratowania dość jest pięciu, lub sześciu ludzi, inni są niepotrzebni i lepiej zrobią, gdy odejdą, by nie przeszkadzać.

Rozebrawszy chorego, należy go położyć na suchej pościeli twarzą na dół, tak, żeby woda przez usta wypływać mogła, lecz nie należy nigdy zwieszać głowy na dół, bo mógłby się udusić. Usta trzeba oczyścić od piasku, śliny i od piany zapomocą pióra, albo wprost palcem obwiniętym w czysty płateczek. Potem trzeba chorego ogrzać przez wycieranie, owijanie w ogrzane płaty, a także starać się wzbudzić w chorym oddech.

Dwa są na to sposoby: należy szybko lecz ostrożnie przewrócić chorego z boku na bok, podtrzymując głowę jego rękami; jednocześnie kto inny powinien łechtać nozdrza końcem piórka, albo tabaką, a trzeci niech wyciera piersi i twarz, aż będą ciepłe i niech nie pryska zimną wodą. Po niejakim czasie, jeżeli oddychanie się nie zaczęło, chorego kładą na plecy, twarzą do góry, pod krzyże podkładają złożone odzienie i przewracają z boku na bok ostrożnie, nie gwałtownie, bez przerwy, piętnaście razy na minutę.

Przed obracaniem ciała potrzeba ręką silnie przetrzeć plecy między łopatkami i niżej. Jeżeli ten sposób nie pomoże, to postępują tak jeszcze: położywszy topielca na równem miejscu podkładają odzienie pod głowę, pod ramiona i pomiędzy łopatki; dalej topielcowi trzeba nacierać ciało, począwszy od rąk i nóg, lepiej założyć sznurek na język i przewiązać go pod brodę. Wtedy ktoś staje naprzeciwko głowy leżącego, bierze go za ręce powyżej łokci i wyciąga je lekko ponad głowę. Potrzymawszy chwilkę ręce w położeniu wyciągniętem, opuszcza się je znowu do boków. Robić to trzeba ostrożnie, ale szybko, z piętnaście razy na minutę.

Gdy chory zacznie oddychać, należy ogrzać ciało, żeby krew w ciele poruszyć. W tym celu trzeba nacierać ciało, począwszy od rąk i nóg, aż do serca i piersi. Podeszwy najlepiej rozcierać możliwie długo szczotką, albo kawałem suchego sukna. Między nogami dobrze jest także stawiać dzbanki z ciepłą wodą, lub worki z ogrzanym piaskiem lub popiołem. Pod pachy, na brzuch i ręce kładą także nagrzane prześcieradła i kołdry, nos i gardło drażnią piórkiem; wpuszczają do ust kilka kropel amonjaku, a ciało moczą wodą z wódką i oblewają tem piersi koło serca.

Wszystko to robić należy, nie tracąc nadziei, w ciągu sześciu lub nawet ośmiu godzin. Bywały wypadki, że topielec, który dwie godziny był pod wodą, został jednak uratowany przez długie obracanie w ciągu dziesięciu godzin. Gdy chory oprzytomniał, dobrze jest napoić go ciepłą herbatą z wódką, lub rumiankiem.

Praktyczne rady.

Plamy wodne na sukni z crepe de chine (jedwabna materja t. zw. krepteszyna) usuwa się, dając je nad parę, a następnie prasując materjał na lewej stronie.

Jeżeli farba jest zbyt gęsta, włożyć puszkę zamkniętą do naczynia z gorącą wodą, a rozrzadzi się.

Filiżanka gorącego i osłodzonego mleka z gałką muszkatułową świeżo utartą (nutment) jest znanym środkiem nasennym.

Duże płytkie naczynie napełnione zimną wodą i umieszczone w pobliżu łóżka przyczynia się do sprowadzenia snu, a ludzie zdrowi śpią lepiej, jeśli w pokoju rozmieszczone są naczynia z wodą.

KRONIKA.

Do dzisiejszego numeru „Roli“ dołączamy prospekt cynkowni Warszawskiej o płatach żelaznych cynkowanych do krycia dachów.

Włamanie do kasy magistratu w Bielsku. Do kasy magistratu miasta Bielska dokonano niezwykle zuchwałego włamania. Około godz. 4 nad ranem stróż magistracki, przechodzący przez budynek zauważył, iż drzwi od gabinetu dyrektora są otwarte i przez drzwi te spostrzegł, sam niezauważony, 6 mężczyzn, którzy manipulowali około dwóch kas ogniotrwałych. Zaalarmowana policja przybyła natychmiast na miejsce. Zuchwali kasiarze, którzy, jak się okazało, byli wszyscy uzbrojeni, podzielili się na kilka grup i rozpoczęli regularny ogień rewolwerowy do policji. Policja odpowiedziała również strzałami. W czasie wymiany strzałów, włamywacze wyskoczyli przez boczne okno i ostrzeliwując się ciągle, zbiegli w kierunku Starego Bielska. Ogółem dano około 70 strzałów. Na miejscu włamania znaleziono dwie teczki z narzędziami, szary kapelusz, krawatkę i bagnet austrjacki. Jeden ze sprawców został najprawdopodobniej raniony, na co wskazują ślady krwi. Obie rozprute kasy wykazują wyraźnie robotę pierwszorzędnych fachowców. W kasach było łącznie około 10.000 zł., przyczem włamywacze wcześnie spłoszeni, zabrali jedynie drobrą kwotę w bilonie. Najprawdopodobniej byli oni jednak poinformowani, że magistrat podjął 14 b. m. 400.000 zł. i liczyli, iż suma ta została złożona w kasie, podczas gdy w rzeczywistości kwotę powyższą złożono w banku. Jak wykazuje dalsze śledztwo, zachodzi możliwość, iż sprawcami włamania do magistratu w Bielsku są trzej niebezpieczni kasiarze, którzy 10 b. m. zbiegli z Krakowa. Zwłaszcza rysopis jednego z nich jest zgodny z rysopisem niebezpiecznego kasiarza Augustyna Makowicza. Silne oddziały policji tak pieszej jak i konnej, przeprowadzają w okolicy obławę.

Ofiary pożaru. W gminie Niżyniec, pow. przemyski w czasie pożaru, który w ciągu godziny zniszczył 16 budynków i spowodował śmierć dwóch chorych staruszek w płomieniach, mieszkanka tej wsi Cecylja Sójka, licząca lat 35, doznała tak poważnych poparzeń, że w drodze do szpitala zmarła. Groźnym poparzeniom uległo również 3-miesięczne dziecko. Pastwą pożaru padł inwentarz żywy i martwy. Szkody obliczają na przeszło 50 tysięcy zł.

Krzyż wrośnięty w drzewo. W składzie drzewa opałowego Tiegera we Lwowie, w czasie rąbania drzewa bukowego natrafiono na polano, w którego wnętrzu znaleziono wyryty krzyż 30 cm. długości z wyrytą obok cyfrą 198. Oryginalny ów okaz oddał Tieger do policji. Znawcy orzekli, że krzyż ten wyryto jeszcze przed 30 laty w młodem drzewku. Z biegiem czasu miejsce wyrycia zatarło się, a krzyż wrósł do wnętrza drzewa.

Dwa trupy na drzewach. Grozą przejmujący widok ukazał się oczom wieśniaków w Jasienicy Solnej pod Drohobyczem. Było to w niedzielę popołudniu. Szukając chłodu, wieśniacy wybrali się do lasu. Omal nie oniemieli z przerażenia i trwogi. Ujrzeli napół nagą kobietę, wiszącą na gałęzi drzewa. Nie dawała już żadnych znaków życia. Kobieta była w wieku około 25 do 28 lat. Kilka kroków dalej natknęli się na drugą „szubienicę“. Wisiało tam w identyczny sposób drugie ciało młodziutkiej dziewczynki, liczącej około 8 do 10 lat, również bez życia. Nazwiska owej kobiety narazie nie stwierdzono. Ustalono natomiast, że kobieta owa najpierw powiesiła swą córeczkę, a potem sama odebrała sobie życie również przez powieszenie. Posterunek miejscowy prowadzi dochodzenia celem wyświetlenia tej ponurej tragedji.

Dramat miłosny na wsi. Pawło Wasahan poznał się przed dwoma laty z Stefanją Mychajłyszyn z Synowódzka Wyżnego (pow. skolskiego). Młodzi przysięgli sobie dozgonną miłość. Na przeszkodzie stanęli rodzice Stefanji. Marzyli o wydaniu córki zamąż za syna bogatych rodziców, sami bowiem są zamożni. Prośba i płacz córki nic nie wskórały. On ostatnio starał się przez osoby trzecie wpłynąć na decyzję rodziców ulubionej w sensie dlań korzystnym. Otrzymał odmowną odpowiedź. Wówczas widocznie dojrzał w nim straszny plan. Pewnego dnia wywołał ukochaną. Gdy znalazła się obok niego, oddał do niej dwa strzały. Były one celne. Broczące krwią, padła na ziemię. Zbiegli się ludzie. Widząc to sprawca okropnego czynu, zbiegł do Synowódzka Niżnego. Policja zaalarmowana rozpoczęła pościg. Widząc, że nie ujdzie pościgowi, strzelił do siebie w głowę. Oboje ciężko rannych zabrano do szpitala: ją w stanie beznadziejnym.

Bohaterstwo ośmioletniej dziewczynki. W czasie pożaru we wsi Pradła w powiecie olkuskim, którego ofiarą padło 29 gospodarstw, wykazała nadzwyczajne bohaterstwo 8-letnia dziewczynka, Cecylja Sochacka. Pożar wybuchł w czasie nieobecności rodziców dziewczynki. Nie namyślając się, dziewczynka wskoczyła do płonącej chaty i wyniosła stamtąd dwoje najmłodszego rodzeństwa. Następnie wyprowadziła z obory krowę i świnie, a kiedy powróciła jeszcze raz do mieszkania, ażeby wynieść maszynę do szycia, zerwał się dach i bohaterskie dziecko zostało pod płonącemi żagwiami. Dziewczynkę zdołano uratować, ale jest ona ciężko poparzona.

Okropny wypadek w młynie. Z Lublina donoszą: Przed kilku dniami kolonja Sokołówka pod Biłgorajem była widownią okropnego wypadku, którego ofiarą padło młode życie ludzkie. W młynie wiejskim, należącym do Stefana Brzeszkiewicza, pracował od niedawna w charakterze ucznia 17-letni Leon Ostrowski, syn biednego gospodarza z pobliskiej wioski. Krytycznego dnia w godzinach przedpołudniowych chłopiec pod kierownictwem mechanika pracował koło dużej maszyny młyńskiej. Gdy mechanik na chwilę wyszedł na podwórko, chłopiec nieostrożnie stanął zbyt blisko maszyny. Nagle nieludzki krzyk zatrząsł całym młynem: to krzyczał Ostrowski, który porwany przez pas transmisyjny z ogromną szybkością obracał się w powietrzu wraz z kołem rozpędowem. Zanim obecni w młynie robotnicy rzucili się na ratunek, nieszczęśliwy, szamocąc się w kleszczach maszyny, z ogromną siłą uderzył głową o kamienną podłogę, ponosząc śmierć na miejscu. Tragiczny ten wypadek wywołał w całej okolicy wstrząsające wrażenie.

Bójka o pożeracza serc niewieścich. Z Lublina donoszą: Cegielnia Helenów pod Lublinem była terenem krwawej bójki. Tło tego zajścia jest następujące: Przed miesiącem w rodzinie Królów zamieszkałych w Helenowie zaszła zasadnicza zmiana. Głowa rodziny, p. Stanisław Król, uchodzący za pożeracza serc niewieścich, nawiązał flirt z Eleonorą Baran, zamieszkałą w tejże cegielni. Żona Króla — Konstantyna Królowa stanowczo zaprotestowała przeciwko utrzymywaniu stosunków męża z Baranówną. Król, po burzliwej awanturze, wyprowadził się z domu. Od tej pory Królowa zapałała nienawiścią do swej rywalki. Nienawiść ta znalazła swe ujście w krwawem zajściu, jakie miało właśnie onegdaj miejsce. Oto Eleonora Baran spotkała idącą z kuchni dla bezrobotnych Królową i rzuciła pod jej adresem ironiczną uwagę. Królowa odpowiedziała tem samem. Ry-

chło rozmówki te przerodziły się w gwałtowną bójkę. Na krzyk niewiast, nadbiegł znajdujący się w pobliżu Stanisław Arend, który, opasawszy ramionami swemi Królową, uniemożliwił jej obronę. Rozwścieczona Baranówna pokryła licznemi ranami całą twarz napadniętej, oraz odgryzła jej zębami połowę lewego ucha. Na krzyk katowanej kobiety nadbiegła krewna jej, 26 letnia Irena Wieprzowska, której głowę uderzeniem jakiegoś żelaza rozbił obrońca Baranówny, Arend. Ażeby zemsta była tem zupełniejsza, przyjaciel Arenda, Józef Kozak powybijał szyby w mieszkaniu matki Królowej, a kiedy ta schroniła się do chaty sąsiada, pobiegł za nią, a nie mogąc otworzyć zaryglowanych drzwi, wdarł się przez dach do mieszkania i tam rozbiwszy kopnięciem nogi kuchenkę, wziętemi z niej cegłami okładał z całej siły nieszczęśliwą.

Plaga żmij. W miejscowości Chybin, jak również koło Żyrardowa pojawiły się żmije w wielkiej ilości. W czesie wycieczki żmija ukąsiła Anielę Rubczak, która przewieziona do szpitala zmarła. Również żmija ukąsiła Janinę Łosińską, którą przewieziono do szpitala.

Zemsta starca. W miejscowości Zofin koło Bydgoszczy, Stanisław Brodzisz, 63-letni starzec, w sprzeczce powstałej na tle konkurencji w handlu zastrzelił Jana Lostego a żonę jego ciężko ranił w brzuch. Brodzisza aresztowano.

Dramat miłosny w zdrojowisku. W zdrojowisku Altheide na Śląsku niemieckim rozegrał się wstrząsający dramat miłosny. Śpiewaczka teatralna Erika Modt, stale angażowana w teatrze wrocławskim, przybyła do Altheide na gościnne występy w sezonie letnim. Partnerem jej miał być młody tenor Gidio Epstein, występujący pod nazwiskiem Gidio Este. Młody śpiewak od roku już kochał się szalenie w pannie Modt i specjalnie starał się o zaangażowanie jej do Altheide, aby przepędzić lato razem z ukochaną. Przyjaźń tych dwojga nie trwała długo. Panna Modt zapragnęła zerwać krępujący ją stosunek z kolegą. Epstein-Este wpadł z tego powodu w szalone rozdrażnienie. Przychodziło do gwałtownych scen, aż wreszcie w czasie spaceru na lesiste wzgórze, po burzliwej wymianie zdań, odtrącony wielbiciel zadał śpiewaczce 30 ran nożem, kalecząc twarz, ramiona i dłonie. Dokonawszy tego strasznego aktu zemsty, Epstein sam zgłosił się do policji, oświadczając, że zranił swą przyjaciółkę.

Niemcy nad przepaścią. W ubiegłym tygodniu cały świat został zaalarmowany wiadomością, że Niemcy znajdują się przed zupełnem bankructwem. Jakoż wiadomości te okazały się prawdziwe. Prezydent Rzeszy niemieckiej, Hindenburg, zwrócił się do prezydenta Stanów Zjednoczonych, Hoovera, z błagalną prośbą, aby Ameryka ratowala ginące Niemcy. Upokorzenie ogromne. Jak to, te Niemcy, których buta nie miała granic, żebrzą o litość u tych, dla których w czasie wojny litości nie mieli. Wszak wiadomem było im dobrze, że Ameryka bez zgody Francji i Anglji nic dla Niemiec uczynić nie zechce. I tak się też stało rzeczywiście. Prezydent Hoover wydał odezwę, aby pomódz Niemcom, ale banki amerykańskie same nie dały ani grosza. Zależało teraz głównie na Francji. Ta jednak powiedziała, że pomoże Niemcom, lecz te muszą dać pewne gwarancje, że pieniędzy tych nie użyją na dalsze zbrojenia, ale na ratowanie swej ojczyzny. Niemców początkowo żądanie takie oburzyło, ale widząc, że innego wyjścia nie mają, zgodzili się na warunki francuskie, z których dla nas najważniejszy jest ten, że przez lat 10 nie rozpoczną żadnej zaczepnej wojny. Zgodzili się, gdyż innego wyjścia nie mieli, ale ani na chwilę nie można wątpić, że gdyby się w przyszłości poczuli na siłach, to o przyjętych warunkach natychmiast zapomną. Banki: amerykańskie, francuskie, angielskie, włoskie i belgijskie wobec przyjęcia warunków francuskich przez Niemcy zgodziły się udzielić im olbrzymiej pożyczki, aby mogły uratować się przed zupełnem bankructwem.

Wieczory antyreligijne w Niemczech. Przeszczepiony niedawno na grunt niemiecki związek „wojujących bezbożników", którego głównym celem jest organizowanie masowych wystąpień z Kościoła, rozpoczął swą działalność od urządzania t. zw. wieczorów antyreligijnych, połączonych zazwyczaj z przedstawieniami rewjowemi. Oficjalnie wieczory te organizują „organizacyjno-propagandowe zastępy komunistycznej partji niemieckiej". Oczywiście wszystko na tych „wieczorach" skierowane jest do ośmieszenia duchowieństwa, religji i jej obrządków, a nazywa się to „uświadamianiem i kształceniem". „Wieczorami" nie zajęła się dotąd ani policja, ani sąd, choć są one wyraźnem przekroczeniem ustaw zasadniczych.

Djablica. Przed sądem przysięgłych w Rudolfstadt (Niemcy) toczy się obecnie sensacyjny proces przeciw zbrodniczej parze kochanków, która oskarżona jest o dokonanie dwu brutalnych morderstw. Bohaterami tego procesu są 23-letnia Klara Paschold i dacharz Reinhold Werner z Lipska. Klara Paschold zwabiła do siebie pod pokrywką schadzki pewnego majstra krawieckiego, którego następnie oboje zabili i ograbili. Inicjatorką i główną uczestniczką morderstwa była Klara Paschold. Oboje skazano na śmierć. W czasie procesu wyszło jednak na jaw, że w miejscowości Gräfenthal zamordowano w podobny okrutny sposób pewną parę staruszków, zegarmistrza i jego żonę. Powstało natychmiast podejrzenie, że sprawcami tego morderstwa jest Werner i jego kochanka. Istotnie Klara przyznała się w czasie śledztwa, że popełniła to drugie morderstwo wspólnie z Wernerem i pewnym pomocnikiem malarskim. Obecnie cała trójka stanęła przed sądem przysięgłych. Klara przeczy jednak, jakoby brała udział w morderstwie, popełnionem w Gräfenthal. Przeczą również jej wspólnicy, ale dowody przeciw nim są bardzo mocne. Wystarczą one do wydania wyroku śmierci, nawet gdyby Klara nie przyznała się w śledztwie do zbrodni. Z rozprawy wynika, że Klara jest prawdziwą djablicą Ojca straciła na wojnie. W 16 roku życia opuściła dom w małej wiosce i przyjechała do Lipska. Tutaj poznała Wernera, została jego kochanką i rozpoczęła z nim swój zbrodniczy żywot. Okazuje się, że do wszystkich zbrodni nakłaniała Wernera djabelska Klara. Jest to dziewczyna piękna, inteligentna, wyrachowana, bez żadnych skrupułów moralnych. Nie ulega wątpliwości, że droga życia tej dziewczyny skończy się w więzieniu, o ile nie pod gilotyną.

Olbrzymia powódź na Kaukazie. Z północnego Kaukazu donoszą o olbrzymiej powodzi jaka wydarzyła się w okręgu Adykejskim. Przeszło 100.000 ha zasianych pól należących do Kolhozów zostało zalanych i zamulonych. Wedle nadchodzących wiadomości z zagłębia donieckiego, z powodu trwających tam od kilku dni ulewnych deszczów, zatopionych tam zostało kilka szybów węglowych. Przestały również pracować niektóre elektrownie. Straty są bardzo wielkie.

Namydlony pogromca zwierząt. W Kremonie, we Włoszech, zdarzył się wypadek z lwem, który, choć wywołał straszny popłoch, nie pozbawiony jest dużego komizmu. W mieście tem od kilku tygodni popisywał się wędrowny cyrk, którego atrakcją były trzy lwy. Dyrektor cyrku na początku każdego popisu z tresowanemi lwami zapraszał najodważniejszych widzów, by weszli do klatki, jednak nie znalazł się żaden śmiałek. Dopiero ostatnio na tego rodzaju zaproszenie zgłosił się

w czasie przedstawienia pewien fryzjer z tego miasteczka, oświadczając, iż nietylko wejdzie do klatki, ale gotów jest ogolić w niej dyrektora cyrku. Publiczność przyjęła tę ofertę z entuzjazmem. Gdy fryzjer wszedł do klatki z namydlonym pędzlem i brzytwą, poskramiacz lwów usiadł na krześle, trzymając bat w ręku i nadstawił brodę do golenia. W chwili, gdy był już namydlony, jeden lew zauważył, że drzwi klatki nie są szczelnie zamknięte, skorzystał z okazji i z głuchym porykiem wybiegł na arenę. W cyrku powstał niesłychany popłoch, publiczność uciekała spiesznie, chroniąc się w domach. Namydlony dyrektor zaczął gonić zwierzę, które ukryło się pod jednym z wozów cyrkowych. Kilku mężczyzn, poturbowanych w czasie popłochu, wytoczyło dyrektorowi cyrku skargę sądową.

Ciekawy proces myśliwski był przedmiotem rozprawy sądu karnego w francuskiem mieście Le Mans. Pewien strażnik drogowy oskarżony był o to, że zastrzelił zająca w okresie ochronnym. Sąd pociągnął do odpowiedzialności zarówno strażnika jak i jego żonę, która ugotowała zająca i zjadła go w sosie wspólnie z swoim mężem. W czasie rozprawy okazało się jednak, że zając był hodowany przez strażnika w jego stajni, z której uciekł pewnego pięknego poranku i skrył się w pobliskiem polu. Strażnik i jego żona szukali zbiega przez dwa dni. Wkońcu udało im się odkryć go, ale nie udało się im schwytać go, bo ilekroć zbliżali się do zbiega, ów zmykał co sił. Rozgniewało to wkońcu strażnika, więc uzbroił się w strzelbę i zastrzelił swego wychowanka. Sąd rozważał przez trzy godziny, czy strażnik miał prawo zastrzelić swego wychowanka, zamiast złapać go lub zabić uderzeniem kija. Doszedł jednak wkońcu do wniosku, że strażnik jest niewinny. W ten sposób strażnik i jego żona mogli spokojnie przetrawić dawno spożytego zająca.

Bohaterska walka z niedźwiedziem. Niezwykle popularna stała się ostatnio 90-letnia Katarzyna Goersson, mieszkanka północnych kresów Szwecji czyli dziewiczej Jemtlandji. Przygoda, która przyniosła staruszce sławę i popularność, wydarzyła się przed wielu laty, kiedy dzielna Katarzyna była jeszcze młodą kobietą. Jemtlandja słynna jest z brunatnych niedźwiedzi, które w wielkiej liczbie zamieszkują tamtejsze lasy. Zwierzęta te znane są szeroko z potężnej siły i ze złośliwości względem ludzi. Katarzyna, która za młodu pasała bydło na leśnych polanach, spostrzegła pewnego dnia, że jej ulubiona krowa gdzieś się wśród drzew zapodziała. Poczęła tedy szukać jej i nawoływać, idąc w głąb lasu po śladach zwierzęcia. W pewnej chwili ujrzała przed sobą na polanie jedyną w swoim rodzaju scenę: walkę krowy z niedźwiedziem. Ogromny niedźwiedź brunatny napastował krowę, ta jednak mężnie się broniła, biorąc raz po raz olbrzyma na rogi. Widząc ze swego ukrycia, że krowa walczy już ostatkami sił, dzielna Katarzyna, uzbrojona w kij, ruszyła na pomoc ulubienicy. Kij jednak złamał się za pierwszem zetknieciem z ciałem niedźwiedzia, co widząc, Katarzyna z gołemi rękami skoczyła na napastnika. Niedźwiedź przestraszył się kobiety i uciekał, zdzierając tylko na pamiątkę wszystkie włosy z głowy Katarzyny i skórę z całej twarzy. Odnaleziono dzielną dziewczynę dopiero nazajutrz, leżącą bez przytomności na leśnej polanie. Złamany kij, a nadewszystko ślady niedźwiedzia na ziemi i straszliwe rany na głowie i twarzy Katarzyny stały się dowodem jej bohaterskiej odwagi. Mimo ran i licznych obrażeń Katarzyna Goersson przeszła szczęśliwie całą tę przygodę i liczy dzisiaj 90 lat życia. Rozpisujące się o niej gazety szwedzkie nazywają ją jednogłośnie „niedźwiedzicą z Jemtlandji".

Wyprawa do Grenlandji. Rząd duński zaczyna się coraz żywiej interesować przedhistorycznem życiem Eskimosów. Nawiasem mówiąc, Eskimosi są jedynym na świecie ludem pierwotnym, który mimo „zarażenia" go kulturą współczesną nietylko nie wymiera, ale liczebnie wzrasta. Wedle najnowszych obliczeń, żyje obecnie 15.000 Eskimosów. Przeważa liczba kobiet i to znacznie, gdyż lud eskimoski ponosi co roku wielkie straty wśród młodzieży męskiej, która, wyjeżdżając w kajakach na morze przeciwko psom morskim, ginie masowo. Grenlandja została odkryta w X. wieku po Chr. przez Normanów i do 16 go wieku była w ich posiadaniu. Skutkiem jednak zerwania się stosunków z Europą i nacisku Eskimosów, Normanowie wyginęli lub wsiąkli w pierwotnych mieszkańców. Wszelkie ślady po nich zaginęły. Władze duńskie wykonują w Grenlandji ostrą kontrolę i zabraniają wstępu każdemu bez specjalnego pozwolenia kopenhaskiego rządu. Obecnie przygotowuje się nowa ekspedycja. Kierownikiem ekspedycji będzie Duńczyk Dr. Lange Koch, jeden z najlepszych znawców Grenlandji. Zamierza on odsłonić tajemnice niezbadanych jeszcze części wschodniego wybrzeża Grenlandji. O tem wszystkiem, co leży na zachód od potężnych szczytów górskich, dzielących wnętrze wyspy od wybrzeża, nie wie się prawie nic. Nad krajem zaległa tajemnica. Można przypuścić, że niema tam ani jednej żywej istoty. Dawniej mieszkały tam plemiona Eskimosów. Wyniosły się one stamtąd z niewiadomych powodów. Opuściły wnętrze wyspy też renifery i jeszcze tylko — jak wiadomo — można spotkać tam woła piżmowego.

Tragedja pięknej tancerki. Od pewnego czasu wielką sławą cieszyła się w Nowym Jorku występująca w tamtejszych teatrzykach młoda, niezwykle utalentowana i piękna tancerka, zaledwie 19-letnia Ellen Georg. Oto została ona niedawno zamordowana w bestjalski sposób wśród niezwykle ciekawych okoliczności. Przez dłuższy czas natrętnie ubiegał się o jej względy jakiś zamożny prostak, który zasypywał ją kwiatami i prezentami, lecz mimo to nie zdobył sobie względów miss Georg. Pewnej nocy, po przedstawieniu, wsiadła tancerka do auta i kazała się zawieźć do hotelu, w którym mieszkała. Nazajutrz jednak znaleziono jej zwłoki w odległej dzielnicy miasta. Nieszczęśliwa dziewczyna została wprost pocięta okrutnemi ciosami noża. Policja wdrożyła natychmiast poszukiwania, lecz zbrodniarz sam przyznał się do winy, a stało się to w sposób, zasługujący na uwagę. Nazajutrz po dokonaniu zbrodni siedziała w pewnej wytwornej restauracji młoda para małżeńska, państwo Netters, a przyległy stolik zajmował samotny mężczyzna o nieprzyjemnych rysach twarzy. Nettersowie przeglądali gazety i rozmawiali o tragicznym zgonie miss Georg, którą znali z występów. Nagle w pewnym momencie ów samotny mężczyzna zerwał się i zaczął krzyczeć przeraźliwym, histerycznym głosem:

— To ja ją zamordowałem. To ja ją zamordowałem!

W restauracji powstało zamieszanie. Przypuszczano, że ów nieznajomy dostał ataku szału. Ale niebawem okazało się, że jest to rzeczywiście morderca tancerki, który dręczony wyrzutami sumienia, przyznał się do winy. Na policji opowiedział szczegóły swego potwornego czynu. Wiedząc, że miss Georg stale w nocy dorożką automobilową wraca do domu, zajechał przed teatr własnem autem, które skierował za miasto mimo gwałtownych protestów dziewczyny. W pewnym momencie zatrzymał wóz i dał się poznać uprowadzonej. Doszło między nimi do gwałtownej sceny, w toku której ogarnięty wściekłością amant, w dziki sposób zabił swą ukochaną, a zwłoki pozostawił w pustej ulicy.

RZECZY CIEKAWE.

Najosobliwsza góra świata.

Najosobliwsza góra świata znajduje się na wschodniem wybrzeżu Korei. Nosi nazwę Kongo-San, t. j. „Góra djamentowa“. Rubinowy połysk tej góry, posiadającej liczne szczyty, jest, jak zapewniają podróżnicy, wręcz oślepiający. To też krajowcy ostrzegają przybyszów, by nie spoglądali nań gołem okiem. Szczyty Kongo-San przedstawiają plątaninę olbrzymich igieł, oraz potężnych sztyletów, ostrzem zwróconych w przestworze, gdy ich rękojeść zdaje się tkwić w dziewiczych lasach, otaczających podnóże skalnego olbrzyma, tam, gdzie gnieździ się tygrys koreański.

Szczególny urok „górze djamentowej“ nadaje czterdzieści dwa monasterów buddyjskich, skupionych na wyżynach lśniących obelisków i spoglądających z wysokości 150 mtr. na lazurową taflę morza.

Monasterzy tworzą wspólnotę klasztorną, przypominającą prawosławną legjatę na górze Athos. I tutaj mnisi zamieszkują na niedostępnych prawie turniach. Chcąc się dostać do któregokolwiek klasztoru, trzeba przebyć karkołomną drogę, wspinając się rękami i nogami po stromych skłonach skał bazaltowych i posiłkując się miejscami łańcuchami i belkami, przytwierdzonemi do ścian kamiennych. Zato, stanąwszy u celu, za podjęty znojny trud, przybysz nagrodzony zostaje nader uprzejmem przyjęciem. W każdym klasztorze przygotowane są zaciszne pokoiki upiększone bukietami wonnych ziół górskich, gdzie pielgrzymi, pragnący czas jakiś przebywać w samotności, oddawać się mogą pobożnym rozmyślaniom.

Ciekawy zwyczaj.

W środkowych Niemczech przechował się po dziś dzień taki oto zwyczaj, przestrzegany zresztą coraz rzadziej i li-tylko w mieścinach. Gdy połowica wali męża, gdzie popadnie często i gęsto, zbierają się mężczyźni do kupy i po odpowiedniej przemowie wchodzą na dach domu, w którym odbywają się owe awantury i zrywają zeń część pokrycia. Kroniki niemieckie z osiemnastego stulecia donoszą, iż dawniej takie zrywania dachów odbywały się za wiedzą i zgodą gminy w szerszych znacznie rozmiarach. W księstwie fuldskiem miał raz na zawsze zlecony urząd marszałkowski, by na wypadek wojny małżeńskiej, po sprawdzeniu, że wywołała ją żona, zajeżdżać pod dom i zrywać dach. W Darmastadt zwyczaj karania kłótliwych małżonków, był cośkolwiek odmienny. Tutaj, mieli sąsiedzi formalne prawo wsadzać sekutnice na oślicę i oprowadzać ją po całem mieście wśród krzyków i drwin obok kroczących ludzi.

Sądzę, iż ten ostatni zwyczaj przyjąłby się szybko wśród naszych uciśnionych żonkosiów, chociaż bezstronność każe przyznać, iż winę w wszczynaniu burz małżeńskich zwykle ponoszą obie strony.

Czesław Wośkowski.

Mrówki jako smakołyk.

Niewielu ludziom zapewne wiadomo, iż słynące ze swej pracowitości mrówki służą także jako przysmak mieszkańcom Afryki. Za najsmaczniejsze uchodzą czerwone mrówki, budujące sobie olbrzymie kopce, pokryte źdźbłami trawy, szczególnie przez nie ulubionej. W jesieni, zwykle w dnie mgliste, mrówki wylatują z mrowiska i wtedy to wyłapują je murzyni przy pomocy kobiet i dzieci. Nawet kury biorą czynny udział w tem oryginalnem polowaniu. Najłakomsi tubylcy obrywają zaraz swym nieszczęsnym ofiarom skrzydła i pożerają je łapczywie w stanie surowym. Wytrawniejsi smakosze delektują się doskonale upieczonemi okazami. Po ukończonej biesiadzie puszczają się w pląsy. Podróżnicy europejscy, którzy spróbowali pieczonych mrówek, twierdzą, iż mają one zupełnie zastąpić marmeladę, względnie miód; jednakże widok tubylców, obżerających się tłustemi mrówkami sprawia niezbyt estetyczne wrażenie. A możeby tak który czytelnik czy też ciekawa czytelniczka „Roli“, przyrządzili i uraczyli się tym egzotycznym smakołykiem?

Czesław Wośkowski.

O rybach, spadających z deszczem.

Historja o rybach, spadających z nieba nie jest bajką, jakby to się mogło wydawać, a każdy przyrodnik wie, że tego rodzaju wypadki zdarzyły się w różnych epokach i miejscach. Należy zadać sobie pytanie, co to właściwie jest taki deszcz rybi? Co zaobserwowano? Czy istotnie ryby mogą spadać z nieba? Zapiski naukowe stwierdzają, że poraz pierwszy w r. 1698 na łąki w Kentu w Anglji spadła ogromna ilość małych rybek wśród ulewnego deszczu, burzy i piorunów. Wiele ludzi zauważyło wówczas to niezwykłe zjawisko i rozpoznało, że były to małe szczupaki morskie i stynki. W innym wypadku, który zdarzył się w Niemczech w r. 1771, podczas szalonej burzy spadł na ziemię deszcz ryb długości 12 do 15 cm. Mówiono, że zostały one przyniesione przez trąbę powietrzną, czy też z powodu gwałtownego wylewu rzeki. Trudno jednak wylewem tłumaczyć chmurę rybek, która wraz z obfitym deszczem spadła na głowy maszerujących żołnierzy w r. 1809 w miejscowości Pondichery. Wiele z tych rybek zatrzymało się na czapkach żołnierzy. Były one nieżywe, ale ugotowane bardzo wojakom smakowały.

Ostatnie tego rodzaju zjawisko zaobserwowano 24 sierpnia 1918 r. w Anglji. Na przestrzeni 50 m., w czasie silnej burzy z deszczem, spadło w oczach licznych świadków mnóstwo rybek. Widziano je, jak spadały, znaleziono je na dachach i w beczkach, do których woda spływała. Niezwykła ta ulewa trwała około 10 minut i przyniosła rybki długości od 7 do 8 cm. Stwierdzono przytem, że gatunek ryb, o których mowa, żyje w morzu i spotykany jest na piaskach nadbrzeżnych po odpływie. Miejscowość w Anglji, gdzie zauważono niezwykłe zjawisko, położona jest w odległości 400 m. od morza. Należy więc przypuszczać, że szalona trąba powietrzna wchłonęła piasek, wodę i ryby, wszystko razem zmieszała i porwała. Przypuszczenie to potwierdza jeszcze fakt, że przestrzeń, na której znaleziono ryby, była bardzo niewielka, przytem były one przeważnie nieżywe i zupełnie sztywne.

Zdarzały się wypadki, iż po tego rodzaju deszczu znajdowano ryby jeszcze żyjące. Stworzenia, spadające z wysokości 50, 100 a nawet 200 m., powinnyby być zabite, a przynajmniej kontuzjowane. Widocznie jednak spadanie odbywało się zwolna i ukośnie, przez co pęd był osłabiony, a te rybki, które spadły na miękką łąkę czy mchy, mogły doznać mniej gwałtownego wstrząśnienia. Temu, iż porwane były nieraz i większe okazy, nie należy się dziwić, albowiem trąba powietrzna unosi z olbrzymią

siłą przedmioty bardzo ciężkie i na bardzo znaczną odległość. Pędząc, traci ona swą siłę wirującą i w pewnym momencie wszystko, co porwała za sobą, spada na ziemię. Hipoteza trąby jest zresztą jedyną, którą można wytłumaczyć deszcze rybie, fenomen autentyczny i sprawdzony — choć należący do bardzo rzadkich. *(Ergo...)*

Odpowiedzi Redakcji:

Pp.: **Marja Waller** w Rz: Niestety, jeszcze u nas zbyt dużo jest warchołów, którzy ambicje własne i korzyści osobiste przedkładają nad dobro publiczne. Pomimo usiłowań ludzi zacnych, partyjnictwa niesposób zniszczyć, gdyż ono coraz pod inną postacią wyrasta. Nie można się ostatecznie dziwić wieśniakowi, który przepojony zasadami jakiegoś partyjnego piśmidła, idzie za wskazówkami swych przywódców, ale trzeba się dziwić tej inteligencji, która świadomie naród okłamuje. Jeżeli się weźmie do ręki takie polityczne piśmidło, to można się łatwo przekonać, że trzy czwarte części jest tam kłamstwa, a zaledwie jedna prawdy. Kłamstwa te sprowadzają na społeczeństwo różne niepowodzenia; wiedzą o tem owi szerzyciele nieprawdy, ale mimo to swej niecnej roboty nie zaprzestają. Za nadesłane utwory serdeczne dzięki. Ciekawy jestem zapowiedzianej, sensacyjnej powieści. A może nam ją Pani po napisaniu przyśle? „Błędne drogi" są w teczce i czekają na druk. — **Władysław Mirek** w N.: Obydwa drobiazgi zamieścimy. Dawniejsze prace mamy w tece, ale chroniczny brak miejsca nie pozwolił nam na wydrukowanie ich. — **Józef Górecki** w K.: Nadesłane zagadki odkładamy do teczki, gdzie czekają na swą kolej rzeczy przeznaczone do druku. — **Jan Pelczar** w W. S.: Nadesłany artykuł zamieścimy. — **Stefan Kulis** w D.: Cukier jest nadzyczaj pożyteczny dla zdrowia, ale miód jest jeszcze stokroć pożyteczniejszy. O nabawieniu się cukrzycy z powodu cukru niema mowy. Ci, którzy tak Panu mówią, niech nie jedzą cukru, ale Pan niech się nic nie obawia. Jakiegoś specjalnego lekarstwa na osłabienie niema. Może je przepisać tylko lekarz, zbadawszy powody osłabienia. Przypuszczamy jednak, że ruch, praca fizyczna, gimnastyka byłyby najlepszem lekarstwem na osłabienie wszelkiego rodzaju. — **Franciszek Jaracz** w K.: Zagadki mamy w teczce, ale jest ich taka mnogość, że mogłyby nam wystarczyć nawet na kilka lat. — **Chrobat:** Nadesłane wierszyki jeszcze zbyt słabe, aby je drukować. — **Helena Latawcówna** w Z.: Wierszyki Pani, jak i wiele innych, czekają w teczce na swą kolej. Cóż my poradzimy na to, że w „Roli" tak mało miejsca. Gdyby się tak podwoiła liczba prenumeratorów, tobyśmy i „Rolę" powiększyć mogli. — **Stanisława Kosińska** w M.: Za tak miły liścik rączki całuję i resztę. Aż się bardziej chce pracować, gdy się otrzymuje tak serdeczne listy. A i pismo niczego, znać, że Pani zadarmo chleba nie jadła. Łączę serdeczne pozdrowienia i jeszcze raz dziękuję. **Jan Kozak** w L: „Cecora" już się niedługo skończy. Na pierwszą powieść mamy znów przygotowane bardzo zajmujące opowiadanie historyczne. Po ukończeniu „Reiczki", która zajmie zaledwie kilka numerów, damy znów jakąś krótszą powieść, a potem rozpoczniemy druk utworu sensacyjnego, który zainteresuje nawet najwybredniejszych czytelników. — **Kazimierz Żurek** w M: Obydwa obrazki bardzo miłe, o ile miejsce pozwoli, chętnie je zamieścimy. — **Franciszek Surówka** w K.: Do nadesłanego wierszyka mamy gotowy obrazek, zamieścimy je więc prawdopodobnie w następnym numerze. — **Bierski Rudolf** z P.: Tem chętniej czytamy uznanie dla „Roli", jeżeli pisane jest ręką od rzemiosła, od pługa i cieszy nas to niezmiernie, że „Rola" i u tych maluczkich znachodzi zrozumienie i wartość. Z przyjemnością prawdziwą piszemy, że nie pierwszy to list Pański, w którym pisze, że odmówił sobie niejedną zabawę, niejedno piwo „Rola" i dla wielu innych biedaków nad piwo, nad zabawy. Żądane numera przesłaliśmy. Załączamy wzajemne pozdrowienia. — **Józef Gołyszny** w Z.: Zgoda. — **Władysław Mirek** w N.: Za półrocznik z r. 1927 — 4 zł., za numera z IV kwartału 1930 r. 3 zł., razem 7 zł. — **Jan Kwaśny** w B.: Za życzliwość bardzo dziękujemy Obecnie jest już tam 5-ciu prenumeratorów. Przy poparciu Pańskiem ilość prenumeratorów może jeszcze znacznie powiększyć się. Łączymy pozdrowienia.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miłość inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kielich.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ogłoszenie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Automat.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Silny wiatr.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Rosji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kwiaty.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wgłębienie morza.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Płyn.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Szata liturgiczna.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą utwór Lucjana Rydla.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

Pół drugiego czwarte Maciuś wszystkim [gada,
Od mojej Kasiuni, bo każdemu biada,
Czwarte pół trzeciego i pierwsze do tego,
Da nam kilka złotych długu spłaconego,
Trzecie pół czwartege dawnych puszcz [zwierz znany,
Czwarty wspak do miary bywa używany,
Drugie wspak i pierwsze w kościele znaj- [dziecie.
Całość rodzaj bójki oznacza nam przecie.

II.

(Ułożył Leopold Wołek z Rz.).

Czwarta druga morgana,
Czyli wizja zwodnicza
Podróżnikom pustyni jest znana.
A myśl ludzka skrzydlata
W trzecią czwartą ujęta,
Czytelnikom „Roli" jest znana.
Pierwsze drugie tem mianem
Osobnika nazwano,
Wykonawcę wyroków ludzkości
Druga pierwsza zaznacza.
Całości nazwę przytacza
Zbieg okoliczności.

3. Kwadraty magiczne.

(Ułożył Leopold Wołek z Rz.).

I.



Wygląd twarzy.
Związek organiczny.
Lina okrętowa.
Napój.

II.



Środek orzeźwiający.
Święta księga.
Bóg grecki.
Inaczej gatunek ludzi.

W kratki wstawić litery tak, by czytane w kierunku poziomym i pionowym dały znaczenie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 31 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 28 „Roli": 1. Logogryf: Karol Libelt. 2. Szarada: Walenty. 3. Zagadki: I. Starosta. II. Konfederacja Targowicka. 4. Zagadki humorystyczne: I. Tulipan. II. Artur. III. W Michalinie. IV. Szaraki. V. Rumaki. 5. Kwadraty magiczne: I. Zola-opad-lada-Adam. II. Kara-Arab-raca-Abel.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązanie wszystkich zagadek nadesłali pp.: Józef Cieplik z K., Józef Górecki z K., Janina Załuska z U., Jan Kawalec z N., Wojciech Lorenc z Ł., Michał Kapusta z W., Jan Kownacki z T., Jan Styś z Ł., Teofil Burman z K.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Styś z Ł. i Janina Załuska z U.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 21 lipca b. r.

Pszenica	25·50—26 00	Słoma długa	5·00—6·00
Żyto .	25·00—26·00	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies . .	29·00—30·00	Koniczyna na-sienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	28·50—29·50	Mąka żytnia	44·50—45·00
Fasola biała	40·00—44·00	Mąka pszen.	51·00—52 00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Otręby pszen.	16·50—17·00
Siano słodk.	9·00—10·00	Otręby żytnie	16·00—16·50
Łubin żółty	34·00—36·00	Mąka czerw.	19·00—19·50
Koniczpastew.	14·00—15·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy
w dniu 21 lipca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·95 do 1·05 zł.	Jałownik	od 1·00 do 1·10 zł.
Woły . .	od 1·05 do 1·12 zł.	Cielęta .	od 1·15 do 1·25 zł.
Krowy .	od 0·85 do 0·95 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·50 do 1·70 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·00 do 2.10

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie. Wszyscy nowi Prenumeratorzy dla całości rocznika mogą je nabywać.